Łódź odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny
NR 22 (1225) ROK XXIV 31 MAJA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Pierwszą część reportażu — o wydarzeniach w Gdańsku we wtorek, 15 grudnia 1970 roku — zamieściliśmy przed dwoma tygodniami, w numerze 20 „ODGŁOSÓW" z 17 maja. Dziś przedstawiamy część drugą. (RED.)

TOMASZ SOLDENHOFF |2|

wygasłe ogniska

Trzecią kobietę z reliefu na Pomniku Poległych Stoczniowców odnalazłem w Oliwie... Ale będzie to opowieść o Gdyni, krwawym gdyńskim czwartku. Kulminacji Grudnia.

Otworzyła drzwi dopiero po trzecim , niecierpliwym dzwonku, jakby musiała najpierw przebić grubą, niewidzialną zasłonę dzielącą ją od świata. Następne, długie minuty przejdą, zanim zdecyduje się dołożyć swoją cząstkę do wiedzy, której szukam wędrując przez parę dni po Trójmieście, od domu do domu.

Wiktoria Pawłowska — drobna, szczupła, w czarnej, prostej — jak tamta, na pomniku — sukience.

— *Nie wiem dużo. Nas tu nie było. Mieszkaliśmy w Trzciance. W sobotę przyszła depesza, że w czwartek syn zginął. Przyjechaliśmy. Pokazali nam grób. To wszystko.* — patrzy z nadzieją, że zrezygnuję z dalszych pytań i odejdę. Co chwila gaśnie światło w klatce schodowej, szukam po omacku kontaktu. Z dołu, zza drzwi dobiega melancholijny dźwięk wiolonczeli.

— *Na grobie była tabliczka...* — dorzuca widząc, że nie zamierzam odejść. Skąpo, ostrożnie odmierza słowa.

Coś jednak wie, chwytam się tego nikłego tropu. Bojąc się spłoszyć ją widokiem notatnika mówię, że chciałbym to zapisać.

Kobieta zastanawia się. Znika na dłuższą chwilę, zamyka za sobą drzwi. Wraca i rozmawiamy od początku...

W końcu wpuszcza mnie do pokoju. Dominuje tu czerwień: koca, którym przykryto kanapę, dywanu. Na meblościance kryształy, maskotki i portret papieża. Siadam na brzegu kanapy, nie zdjąwszy nawet płaszcza. Ale chwila przeciągnie się do godziny.

— *Niektórzy boją się, nie wiedzą, kto, jak... Wywiadów nie bardzo dawać chcą* — tłumaczy się kobieta. Ten motyw już znam: posępny cień Grudnia, lęk odbijający się jak refren przez lata o ściany tych domów.

Będę musiał w wielu miejscach dopowiedzieć jej opowieść. Gdyński czwartek ma swoją krótką prehistorię; były w niej przecież i momenty nadziei. Nic nie zapowiadało tragedii.

Pierwszy. 15 grudnia — podczas gdy w Gdańsku palił się Dom Partii tu władze miejskie uznały komitet strajkowy i — co więcej — obiecały na czwartek, 17 grudnia, odpowiedź na postulaty.

Drugi, w środę wieczór — w przeddzień masakry. *Stanisław Kociołek* wezwał ludzi do pracy. Miała to być zapowiedź powrotu spokoju.

Krótko trwała władza strajkujących. Około północy aresztowano, brutalnie pobito i wywieziono do wejherowskiego więzienia członków MKS.

Krótko trwała nadzieja ludzi na normalny dzień pracy. Na to, że tam w stoczni i porcie — zastaną odpowiedź na swe żądania.

Spokój nie nadszedł. Zastali tylko — śmierć i cierpienie.

Opowieść trzecia

Jest późny wieczór, gdy żółty wagonik elektrycznej kolejki wyrzuca mnie na peron przystanku Gdynia-Stocznia. Tak samo ciemno i zimno było wtedy, kiedy przed szóstą z różnych stron zaczęli tu napływać ludzie. Ich buty — podobnie jak moje — dudniły po żelaznych schodach, wiodących na długi drewniany pomost. Łączy on ponad pasem torów dwa brzegi miasta sypialnie i warsztaty pracy.

Zniknął nasyp, z którego wołali do strzelających. Zamiast niego jest dzisiaj betonowy peron. Nie ma też wielu desek w pomoście, tych, które strawił ogień. Ani kiosku u zejścia z pomostu na wiadukt przy Marchlewskiego. To obok kiosku padła od kuli jedna z pierwszych ofiar masakry: ciężarna kobieta. Mówią o tym relacje ludzi, którzy ją wyciągali. Ale potwierdzić mógłby tylko lekarz. Bo nie ma żadnej kobiety na oficjalnej liście poległych. Ślady mogące do niej prowadzić starannie zatarto.

Dalszy ciąg na str. 6

W PARTII NA DOLE

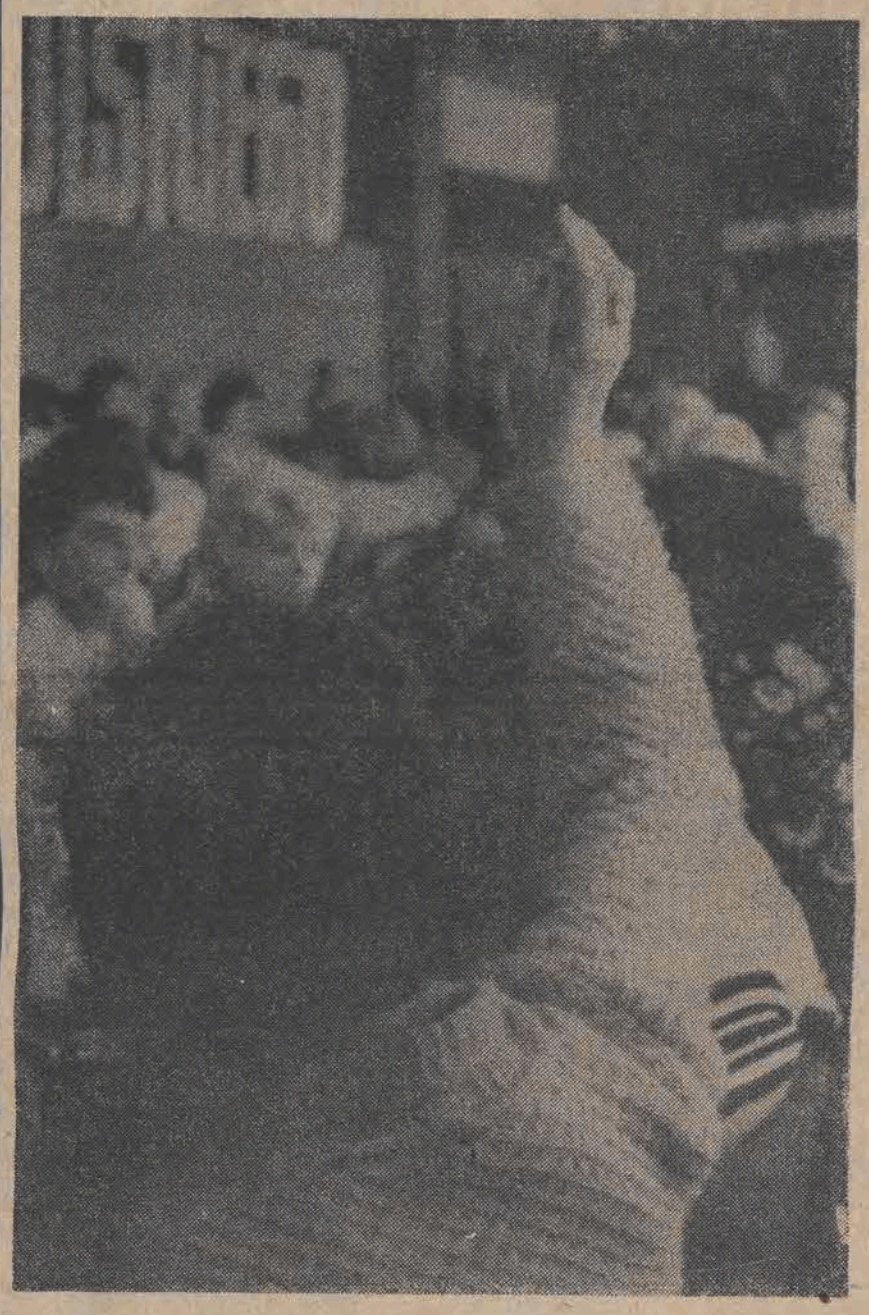

Foto: R. Łucyszyn

Właściciel zielonego „malucha", który życzliwie zaoferował się podwieźć mnie do domu (konferencja, jak większość obecnych zebrań, skończyła się w nocy), nie ukrywał swego rozczarowania. Ani co do dyskusji, ani co do wystąpienia delegata. Kilka godzin wcześniej dr Marek Belka apelował, aby obrady IX Zjazdu PZPR kończyć o godzinie 21 i obowiązkowo wysyłać delegatów na odpoczynek. Nad ranem można już wszystko przegłosować — powiedział.

W Uniwersytecie nie tyle wszystko przegłosowano, ile wyrażano wątpliwość, czy w ogóle można głosować i podejmować uchwały przy wyraźnie malejącej liczbie uczestników zebrania.

Z obszernych relacji z zebrań partyjnych, zamieszczanych np. w „Polityce", można wywnioskować, iż stan, który dla jednych jest wyrazem zmęczenia ponad miarę, a dla innych słabością kończących kadencję, występuje w wielu organizacjach. Jest to m. in. skutek opieszałości w przygotowaniu Nadzwyczajnego Zjazdu partii. Organizacja partyjna Uniwersytetu wielokrotnie podkreślała w swoich uchwałach, iż „nie stabilizacja życia społecznego stanowi warunek zwołania Zjazdu, ale przeciwnie — niezbędną przesłanką stabilizacji jest terminowe odbycie Zjazdu".

O pulsującym życiu politycznym w wydziałowych organizacjach partyjnych uczelni świadczy natomiast referat przygotowany na konferencję. Pod lapidarnymi stwierdzeniami kryje się owo polityczne i intelektualne wrzenie, które na niektórych wydziałach utrzymuje się do dziś. Zjawisko społeczno-polityczne, określone hasłem „Fonica", narodziło się przecież ze współdziałania z tamtejszą organizacją partyjną pracowników naukowych, członków partii Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego. W POP Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi wysuwano także szereg postulatów dotyczących zasad funkcjonowania partii, które, niestety

co partia powinna?

Dalszy ciąg na str. 2—3

EDMUND LEWANDOWSKI

przyczyny naszych kryzysów |2|

PRZYCZYNY HISTORYCZNE

Począwszy od XVI wieku w Europie Zachodniej szybko i konsekwentnie postępował rozwój stosunków kapitalistycznych — odbywał się marsz rozwoju i postępu gospodarczego. A już wcześniej przestało być panującym typem poddaństwo chłopów. Zupełnie odwrotnie potoczył się bieg dziejów w Europie Wschodniej, a w tym i Polsce. Otóż na obszarze na wschód od Łaby i Sudetów pod koniec XV wieku pojawił się nawrót feudalizmu i tzw. „wtórne poddaństwo". Wyglądało to tak, jak byśmy ruszyli wstecz. Stąd głównie bierze się nasze zacofanie, które długo jeszcze będziemy odrabiać. Przyczyny tego paradoksu są znane historykom gospodarczym i nie tutaj miejsce, aby je omawiać. Chodzi jedynie o uświadomienie niezwykle ważnego faktu historycznego, który niejako mści się na naszej obecnej historii.

Polska nie miała rewolucji burżuazyjnej i reformacji religijnej. Nasza formacja kulturowo-narodowa rozdarta była aż do XX wieku na dwa odrębne światy: pańsko-szlachecki i chłopsko-ludowy, czyli krótko — światy panów i chamów. Pierwsi mieli prawo panować i próżnować, a drudzy obowiązek służyć i pracować.

W końcu XVIII wieku główną osobliwością struktury społecznej państwa i narodu polskiego był rekordowy odsetek szlachty. W innych krajach Europy udział tego stanu wynosił: w Hiszpanii — 6,5 proc., na Węgrzech — 4 proc., w Anglii — 3 proc., Rosji — 2 proc., Francji — 0,7 proc. Natomiast w polsce szlachta obejmowała 9 proc. społeczeństwa, a wśród ludności etnicznie polskiej aż 28 proc. Ponieważ zaś wśród mieszczaństwa ponad 2/3 stanowili Żydzi i pewien procent Niemcy, Polak to był szlachcic (co czwarty), względnie chłop. Ten ostatni był brutalnie wyzyskiwany przez swego pana, ale i zarazem w niego zapatrzony — gdy awansował społecznie natychmiast przyjmował wielkopańskie maniery. Także w czasach współczesnych — jak wskazywał **Melchior Wańkowicz** — „z chwilą gdy wyawansowany syn chłopski siadał z tamtej strony okienka, przed klientem pojawiał się jeszcze jeden półpanek, który uważał, że ułapał cząstkę przywilejów klasy rządzącej, a wraz z tą cząstką należny mu udział w pańskim „widzimisię".

Józef Chałasiński wołał w 1938 roku o ratowanie chłopskich synów przed kulturą szlachecką. Podobnie **Melchior Wańkowicz** był zdania iż poszlachecka kultura nas „deformuje". W tym samym duchu zdecydowanie wypowiadał się **Stanisław Ignacy Witkiewicz.**

Absolutna dominacja mnogiej i rozprzężniaczonej szlachty stanęła ostatecznie na przeszkodzie rozwojowi reformacji w Polsce. Kaznodzieje protestanccy powtarzali bowiem często słowa Pisma Świętego: „Kto nie chce pracować, niech też nie je" (2 Tes 3, 10). Ostatecznie należymy więc do krajów Marii, a nie zapobiegliwej Marty.

W XIX wieku spośród zdeklasowanej szlachty rekrutowała się warstwa inteligencji. Ludzie ci — jak podkreślał

Dalszy ciąg na str. 7

szpital na zakręcie

EDWARD BRYL

ZOZ głowieńskiego, pracowitego do niedawna i spokojnego, nie oszczędziła fala kryzysu. Tutaj, jak w żadnym innym zakładzie, pierwsze na terenie kraju, jednomyślne okazały się wszystkie organizacje społeczno-polityczne; POP, „Solidarność", branżowe związki zawodowe. Cel był jeden i jasny — obalić dyrekcję, której działalność od dawna stawała się niewygodna dla zasiedziałej od lat elity medyków z Głowna i Strykowa. Naczelny dyrektor ZOZ, dr *Rafał Minich* i jego zastępcy byli ludźmi z zewnątrz, nic nie mieli wspólnego z tym zamkniętym środowiskiem. Dojeżdżali z Łodzi, jakże więc mogli wejść w tutejsze interesy i powiązania. Plany dr *Minicha* szły w niewygodnym kierunku.

— *Najbardziej palącą potrzebą jest budowa nowego szpitala na dwieście łóżek. Działka już jest zarezerwowana w pięknym, leśnym ustroniu. Moc ciepłownicza obecnej kotłowni wytrzyma stary i nowy budynek. W starym szpitalu chciałbym zlokalizować Dom Pomocy Społecznej, gdyż żyje tu sporo osób niedołężnych, pozbawionych formalnej opieki, bez szans umieszczenia w łódzkich domach opieki. Również liczba miejsc w żłobkach nie zaspokaja potrzeb terenu. Problem będzie rozwiązany dopiero po wybudowaniu nowego żłobka. W planie mamy jeszcze budowę przychodni rejonowej w Strykowie i rozbudowę obecnej w Głownie oraz budowę Międzyzakładowej Przychodni Przemysłowej w Strykowie i Głownie. Powiększymy odpowiednio kadrę medyczną. Będziemy systematycznie przydzielać mieszkania dla wysoko kwalifikowanych pracowników służby zdrowia, aby na stałe związać ich z naszym terenem.*

Tajemnica szybkiego porozumienia się wszystkich organizacji w ZOZ okazała się prosta. Funkcję I sekretarza POP, pełni mieszkający w Głownie dr *Urbanik*, lekarz z przychodni przemysłowej przy Zakładach Motoryzacyjnych w Głownie. Przewodniczącym „starych" związków zawodowych jest dr *Sobczyński*, ginekolog ze szpitala głowieńskiego, zamieszkały również w Głownie. Natomiast przewodnicząca Zakładowej Komisji „Solidarności" to położna z jego oddziału — *Elżbieta Kaźmierczak*, młoda kobieta z kilkuletnim stażem pracy, zaś wiceprzewodniczącym „Solidarności" jest dr *Tracz*, ginekolog z przychodni w Strykowie, mieszkaniec tegoż miasteczka od ponad dwudziestu lat. Nietrudno oprzeć się wrażeniu, że to nie interesy reprezentowanych przez nich organizacji okazały się zbieżne, lecz właśnie dążenia tych panów (bo jedyna kobieta, młoda, niedoświadczona przewodnicząca „Solidarności" pełni rolę raczej marionetkową).

Nie jest to wyłącznie moje zdanie. *Dr Stefan Skowron* z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi stwierdził między innymi, że prawidłowe funkcjonowanie i ogólna dostępność lecznictwa ukróciły znacznie prywatne praktyki, co wzbudziło zrozumiałe niezadowo-

Dalszy ciąg na str. 5

CO PARTIA POWINNA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

ty, nie spotkały się z należytą reakcją instancji partyjnej. Zgodnie z uchwałą VIII Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej wielu członków partii z Uniwersytetu pracowało aktywnie w zespole partyjnym szkół wyższych, w centralnej i wojewódzkiej komisjach zjazdowych. Organizacja uniwersytecka pozostawała również w ścisłym kontakcie z organizacjami innych uniwersytetów. Wspólnie z nimi wyrażono np. niezadowolenie z wyników IX Plenum KC, z przełożenia terminu Zjazdu, ze zbyt opieszałego działania władz centralnych, a przede wszystkim z braku oceny sytuacji i koncepcji strategicznej. Przed X Plenum KC przedstawiciele wszystkich uczelnianych organizacji partyjnych opracowali dokument, zawierający żądania i oczekiwania. Dokument ten przedstawiono KC PZPR w kwietniu br. na spotkaniu I sekretarzy komitetów uczelnianych. X Plenum spełniło niektóre z tych postulatów. M. in. organizacje partyjne żądały równych praw wyborczych dla wszystkich organizacji partyjnych: przemysłowych i uczelnianych.

Dyskusję nad bieżącymi wydarzeniami w kraju, na których brak nie mogliśmy się uskarżać, przeradzały się w Uniwersytecie w dyskusję nad ideologicznymi pryncypiami, nad formułowaniem zasad, jakimi powinna posługiwać się partia, chcąc spełniać swą przewodnią rolę. Członkowie partii w UŁ zgodnie uznali, że zasady te muszą być jawne i akceptowane przez społeczeństwo, a zwłaszcza klasę robotniczą.

W dyskusjach nad istotą partii marksistowsko-leninowskiej jedni z dyskutantów wyrażali poglądy, w których za sedno więzi partyjnej uznawano organizację partyjną. Inni eksponowali treści ideowe, uznając, iż formy organizacyjne traktować należy jedynie jako narzędzie realizacji idei. Z tego drugiego punktu widzenia wymogi organizacyjne nie mogą stanowić alibi dla odstępowania od uznanego porządku wartości ideowych, jak praworządność, równość, sprawiedliwość. Komitet Uczelniany podjął również inicjatywę Wydziału Nauki i Oświaty KŁ PZPR, zmierzającą do przeprowadzenia analizy kryzysu w Polsce. Celem tej interdyscyplinarnej analizy jest ustalenie prawidłowości, które doprowadzają do zbyt częstych, kosztownych odstępstw od idei socjalizmu.

Z ostrą oceną krytyczną organizacji partyjnej spotkał się brak do tej pory politycznej oceny strajku studenckiego. Charakterystyczne, iż podczas konferencji partyjnej w dniu 15 stycznia br., na cztery dni przed strajkiem ogólnopolskim, nieśmiało jedynie zauważono strajk wewnątrz Uniwersytetu. Znane było kalendarium strajku. Brak natomiast było pogłębionej oceny przyczyn, nie panowano również nad bieżącą sytuacją. Fakt ten nie pozostał bez wpływu na bardzo kontrowersyjną ocenę strajku zawartą w uchwale Plenum KŁ PZPR. Więcej uwagi poświęcono wówczas przebiegowi wydarzeń, niż ich ocenie. KU PZPR nie mógł jednak dokonać takiej oceny. W początkach marca Egzekutywa zwróciła się do wszystkich sekretarzy POP z prośbą o zorganizowanie dyskusji i przeprowadzenie oceny przyczyn strajku na własnych wydziałach. Oceny takie wpłynęły od POP Instytutu Filozofii i Zakładów Językoznawstwa Instytutu Filologii Polskiej. Być może opieszałość pozostałych wydziałów wynika z bardzo różnorodnego stopnia zainteresowania strajkiem pracowników naukowych. Można było zaobserwować zarówno bardzo aktywne, pomocne młodzieży postawy, jak i zupełnie bierne obserwatorów. Uczelnia czeka więc na analizę przyczyn strajku. W Uniwersytecie działa tymczasem osiem organizacji młodzieżowych, a być może przybędą jeszcze nowe. Do organizacji tych należy 2,5 tys. młodzieży, a pozostałe 70 proc. studentów waha się jeszcze z opowiedzeniem za którąś z nich. Rozbudzona podczas strajku aktywność społeczna młodzieży nie utrzymała się więc, zdaniem egzekutywy, po jego zakończeniu.

Niezmiernie ważna będzie rola organizacji partyjnej uczelni w świetle przygotowywanej ustawy o szkolnictwie wyższym. W dyskusjach rozważano instytucjonalne zagwarantowanie działania partii w uczelni, z prawem veta włącznie. Wygłaszano również opinie przeciwne, uważając, że działanie partii jest wynikiem pracy społecznej i autorytetu jej członków. Ten ostatni pogląd przeważył na spotkaniu sekretarzy uczelnianych organizacji partyjnych w kwietniu br. Jednocześnie wnioskowano o wniesienie poprawki do komisji sejmowej o stanowiącym głosie przedstawiciela partii w ciałach kolegialnych. Organizacja partyjna powinna również, zdaniem dyskutantów, przyjąć rolę inspiratora w zakresie doboru kadr naukowych, krytyki naukowej i wszelkich innych poczynań, wpływających na podniesienie poziomu naukowego uczelni. Należałoby m. in. błyskawicznie interweniować i przywrócić prenumeratę zagranicznych czasopism naukowych. Ta źle pojęta oszczędność i pozostawienie naukowców bez aktualnej literatury przedmiotu, już przynosi fatalne skutki. Dyskutowano również o doświadczeniach wynikających ze współpracy organizacji partyjnej z nowymi organizacjami społecznymi. Zasadniczym jednak pytaniem zadanym podczas konferencji było: czego można się po Zjeździe spodziewać. W Uniwersytecie uważają, iż Zjazd przyniesie przede wszystkim radykalne zmiany kadrowe i statutowe, nie przyniesie natomiast „polskiej wersji socjalizmu", ani też radykalnych rozwiązań gospodarczych. Obawiano się jednak, czy na Zjeździe nie wystąpi 200 delegatów, każdy z własnym statutem i własnymi propozycjami naprawy gospodarki kraju. W celu więc wcześniejszego uzgodnienia poglądów zobowiązano delegatów na Zjazd do współdziałania z delegatami innych środowisk na wspólnym Forum Delegatów. Zatwierdzono także wniosek o powołaniu (ale już po Zjeździe) Dyskusyjnego Klubu Partyjnych Intelektualistów. Nie zatwierdzono natomiast wniosku zgłoszonego przez jednego z dyskutantów, a zmierzającego do zobowiązania delegata, aby nie głosował na dotychczasowych członków Biura Politycznego, jeśli ich kandydatury będą wysunięte na Zjeździe do przyszłych władz. Byłoby to poważne ograniczenie swobody delegata i brak zaufania do jego osoby. Delegata zobowiązano jedynie do przedstawienia w Uniwersytecie Łódzkim tekstu przemówienia, z jakim zamierza wystąpić na Zjeździe.

Sporo miejsca, zwłaszcza w wystąpieniach delegatów z Wydziału Prawa i Administracji, zajęły problemy związane z przewodnią rolą partii i rozważania na temat relacji między organizacją partyjną a władzą. Czego na przykład partia nie powinna robić? — pytano. Delegat Uniwersytetu na Zjazd, doc. dr hab. Cezary Józefiak, którego naszym czytelnikom przedstawiać nie trzeba, gdyż często gościł na łamach „Odgłosów", wyraźnie podkreślił, iż jego zdaniem partia nie powinna ustalać programu gospodarczego. Powinna natomiast stać na czele krytyki wszelkiego zła i chronić to, co jest istotne dla Polski z punktu widzenia ustroju. (mg)

MAŁGORZATA GOLICKA

BEZ SCENARIUSZA

Zakładów Przemysłu Pończoszniczego „Sandra" w Aleksandrowie przedstawiać na naszych łamach nie trzeba. Fabryka znana w regionie, jak się kiedyś mówiło: „sztandarowa". I rzeczywiście, można by przytoczyć sporo faktów, świadczących o tym, że załoga i jej kierownictwo polityczno-administracyjne za przeszłość „Sandry" nie musi się wstydzić. Obeszło się bez gigantomanii, lecz „Sandra" w wyniku wieloletniej rozbudowy stała się istotnym czynnikiem miastotwórczym. Myślano racjonalnie o wzroście produkcji, a zarazem jej unowocześnianiu, modernizowano park maszynowy, co w efekcie przyniosło w ostatnich latach 2,5-krotny wzrost wydajności. Nie zapomniano o własnej, dobrze zabezpieczającej potrzeby bazie wypoczynkowej i kulturalnej. Nie te sprawy jednak dominowały w czasie konferencji w dniu 18 maja i trudno się temu dziwić. Dzień dzisiejszy i najbliższa przyszłość bardziej dopominają się o swoje prawa. I doskonale rozumieją to działacze zebrani w sali Zakładowego Domu Kultury — na — jak się okazało — prawie 9-godzinne spotkanie.

Z czym organizacja partyjna „Sandry" przychodzi na konferencję? Od takiego pytania zwykle się zaczynało. Ale to przeszłość. Relacjonowane tu obrady, jak i chyba większość zakładowych konfrencji przedzjazdowych, to epizod. Oczekiwany, ważny, zamykający istotny etap od sierpnia ub. roku, ale o niczym nie przesądzający. Może tylko bardziej znaczący jako potwierdzenie znanych już zjawisk zachodzących w całej partii.

Z krótkiego wprowadzenia do dyskusji I sekretarza KZ, **Haliny Góreckiej**, niewiele wynika. Żadnej oceny dotychczasowej działalności i propozycji programowych na przyszłość. Ale takie było założenie (chociaż krytykowane), żeby tym wszystkim zajęła się konferencja i nowy komitet zakładowy. Może to i lepiej, **H. Górecka**, po 8 latach etatowego sekretarzowania, nie jest delegatem na konferencję, przepadła w swojej OOP, więc i chyba słusznie nie kwapi się z pouczaniem swych następców. Im już to wszystko zostanie do zrobienia po swojemu. Oddajmy więc im głos, ograniczając się do komentarza, bez aspiracji do jakichś wielkich uogólnień.

Z WPROWADZENIA

Od sierpnia ub. roku spośród 550-osobowej organizacji partyjnej wystąpiło 58 członków. Procentowo dużo, dwa razy więcej, niż „średnia" dla województwa. Tak, jak wszędzie, wśród nich najwięcej robotników. To źle, ale podoba mi się sugestia dokładnej analizy przyczyn i otwarcie szansy powrotu dla części przynajmniej b. towarzyszy, kierujących się np. emocjami, czy jakimiś argumentami, które można zrozumieć i uznać.

Dotychczasowy przebieg wyborów w Oddziałowych Organizacjach Partyjnych, a jest ich siedemnaście, też daje coś do myślenia. Skład nowych egzekutyw odzwierciedla stan socjalny załogi, w jedenastu OOP nowym sekretarzom powierzono mandaty po raz pierwszy. Wśród 77 delegatów na konferencję zakładową jest 27 robotników, ale tylko kilkanaście kobiet (w dyskusji też żadna nie zabiera głosu), mimo iż zakład jest absolutnie sfeminizowany: 70 proc. załogi to kobiety.

Z DYSKUSJI

H. FILIPIAK. O małej reformie, znanej też jako Uchwała nr 118. Wprowadzono mniej wskaźników dyrektywnych, ale nie zamknięto drogi do ich narzucania. Limity są nadal obowiązujące, jak delegacje, kontakty z rzemiosłem, paliw i energii, inwestycji. Limit dewizowy jest, ale tylko na papierze. Potrzebna jest autentyczna samorządność i samodzielność przedsiębiorstwa, jako szansa wyjścia z kryzysu, gdyż tak wynika z analizy przyczyn powstania obecnej sytuacji gospodarczej. Potrzebna jest pilnie duża reforma. (tu zgłasza votum nieufności dla członków komisji d/s reformy) aby skończyć z dotychczasowym „kapitalizmem państwowym", a zacząć działać w duchu prawdziwie socjalistycznym.

S. DWOJACKI. Apeluje: zostawmy sprawy gospodarcze. Od sierpnia ub. roku organizacji partyjnej prawie nie ma. Czekamy, aż nam program działania przyślą z góry. Nie było żadnej oceny we wprowadzeniu: grzecznie, układnie, anonimowo. Jak u nas wyglądała kierownicza rola partii? Były I sekretarz KMiG rościł sobie nawet prawo do interpretacji przepisów prawnych. Nie było żadnej zgodności słów z czynami. Teraz też nie wiemy, gdzie jesteśmy? W zakładzie nie jest źle, plany wykonujemy, III kwartał przeżyjemy, bo jest jeszcze trochę przędzy, ale co będzie później? Maszyny możemy zatrzymać, ale co z ludźmi?

T. SZATKOWSKI: — W zakładzie, na OOP dyskusje były ostre, I sekretarz nie odpowiadała. To, co zrobiła „Solidarność" (n.b. w zakładach ok. 90 proc. załogi należy do tego związku) było stać partię. Wnioski były, ale członkowie partii bali się i nie popierali wzajemnie. Jak zachowywaliśmy się, kiedy był strajk?... Źle jest z bezpieczeństwem obywateli w naszym mieście. Chuligani rozrabiają, a społeczeństwo się przygląda.

CZ. MIKOŁAJCZYK. Mówi o sprawach ogólnych, rozliczeniach, karuzeli kadrowej, rozgoryczeniu starych działaczy, niezadowoleniu młodych. „Tyramy na jedzenie i mieszkanie. Jak człowiek chce coś kupić, to musi brać pożyczkę". Głosy krytyczne nie mogą być uznane za antysocjalistyczne, nie wolno obrażać się za krytykę. Były I sekretarz KM z Aleksandrowa uciekł jak tchórz. Co zrobić z ludźmi z trzeciej zmiany? Zaczyna brakować surowców.

A. GŁAWĘDA. Poddał totalnej krytyce sprawę informacji i szkolenia partyjnego. „O tych sprawach mówię od 10 lat". Lektorzy mówią tak, a po jakimś czasie zupełnie odwrotnie. Członkowie partii tracili orientację, wyczekiwali. W zakładzie było tylko dwóch, którzy krytykowali i narażali się, ale ich nie popierano. KZ stracił już dawno siłę przebicia, wnioski nie szły wyżej. Liczyła się tylko produkcja, ilość, a działy pomocnicze są zaniedbane. Zjednoczenie nie miało wobec „Sandry" programu przyszłościowego, po co ono jest?... Zło zaczęło się, od kiedy ludzie przestali mówić... Zabolała mnie krytyka związków branżowych, tych na dole. W CRZZ to nie byli związkowcy, lecz funkcjonariusze, w fabrykach rzeczywiście działali ci do czarnej roboty i trzeba o tym pamiętać.

SOBIERAJSKI: — Nie rozumiem, dlaczego konferencja jest tylko wyborcza. Bez rozliczenia i programu. Nie możemy mieć pretensji tylko do I sekretarza KZ. Gdzie była Egzekutywa i cały KZ, egzekutywy OOP? W przeszłości mówiło się przede wszystkim o sprawach ekonomicznych, a głosy były przygotowane, rozdzielone między tych samych dyskutantów. Wszystko robione pod oceny towarzyszy ze szczebla. Chwalono nas, że mamy „dobry aktyw", a surowo oceniano „nieprawomyślne" głosy ludzi na kierowniczych stanowiskach... Strajkowaliśmy w sierpniu jako jeden z pierwszych zakładów w regionie. I nie chodziło o stawki, czego KZ nie mógł zrozumieć. Komitet strajkowy ujawnił się dopiero później. Jaki mieliśmy stosunek do „Solidarności"? Dopiero po czasie zrozumieliśmy, że musi być partnerski. W naszym zakładzie większość członków partii jest w „Solidarności". W kierownictwie związku mamy mądrych ludzi i to jest gwarancja dobrej współpracy.

Z. ZIENTARSKI (dyrektor naczelny). Głos dyrektora jest polemiczny w stosunku do ocen, które padły w dyskusji, ale trudno byłoby stwierdzić, że przekonywający. Fakty, to jedna sprawa, a ich interpretacja zależy od punktu widzenia. „Trudno się jednak zgodzić, że „przegadamy tę 5-latkę", że „z gadania i mięsa, i skarpet nie przybędzie". Budzi też wątpliwość, że w przeszłości „nikt nikomu nie nakazywał, co ma mówić". Cieszy dla odmiany twierdzenie, że w „Sandrze" jest jedna klasa robotnicza, bez podziału na związki branżowe i „Solidarność". Cieszyłaby jeszcze bardziej pewność dyrektora, że w „Sandrze" bezrobocia nie

KRONIKA KULTURALNA

14 bm. z przedstawicielami łódzkiego środowiska literackiego spotkał się I sekretarz Kł. PZPR, Tadeusz Czechowicz. Na spotkaniu mówiło się o trudnej sytuacji wydawniczej w naszym mieście i o środkach mających tę sytuację polepszyć. Są nimi, według dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego, dr Jacka Zaorskiego, możliwości wykorzystania tzw. małej poligrafii. Kontakty z Pracownią Poligraficzną ŁDK przyniosły już pewne rezultaty (wydano kilka tomików debiutanckich). Jedyną jednak szansą wydawania książek pisarzy łódzkich jest staranniejsza i surowsza selekcja składanych maszynopisów przeznaczonych do druku. Wiele miejsca poświęcono także roli młodych twórców w łódzkim środowisku literackim, a jednocześnie problemom związanym z wydaniem debiutanckich tomików.

Ustosunkowując się do poruszonych przez literatów i wydawców problemów, Tadeusz Czechowicz złożył zapewnienie, że w miarę swoich możliwości zrobi wszystko, aby środowisku pomóc.

W OSTATNIĄ SOBOTĘ i niedzielę teatry łódzkie zaprezentowały aż trzy premiery.

W sobotę, na Małej Scenie Teatru im. S. Jaracza odbyła się premiera sztuki Andrzeja Kijowskiego pt. „Grenadier — król", w adaptacji i reżyserii Jerzego Hutka. Scenografię przygotował Grzegorz Matecki, muzykę — Jerzy Bauer, układ choreograficzny — Włodzimierz Traczewski.

Teatr Wielki, także w sobotę, zaprezentował widowisko baletowe pt. „Faust story", do muzyki Franciszka Liszta: „Walc Mefisto" i „Symfonia Faustowska". Kierownictwo muzyczne sprawuje Stefan Marczak, inscenizacja i choreografia Jerzego Makarowskiego, scenografia — Władysław Wigura, przygotowanie chóru — Elżbieta Kwiecień.

Natomiast w niedzielę Teatr Powszechny przedstawił premierę baśni muzycznej „Czarodziej" Bronisława Wrocławskiego, Macieja Korwina i Bogdana Pawłowskiego. Reżyserem spektaklu jest Maciej Korwin, scenografię przygotował Tadeusz Paul, a autorem choreografii jest Włodzimierz Traczewski.

12 BM. ODBYŁA SIĘ środowiskowa konferencja partyjna. Delegatem środowisk twórczych i upowszechnieniowych oraz masowego komunikowania na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR został Lucjusz Włodkowski. Delegatami na Wojewódzką Konferencję Wyborczą PZPR w Łodzi zostali: Emilia Kabulak, Jerzy Katarasiński, Krzysztof Lewandowski, Benon Liberski, Urszula Mikołajczyk, Irena Stasińska i Lucjusz Włodkowski.

INFORMOWALIŚMY JUŻ o nagrodzie Grand Prix XXI Kaliskich Spotkań Teatralnych dla Kazimierza Dejmka za realizację „Uciech staropolskich" i II nagrodzie dla Ludwika Benoit za rolę w tym przedstawieniu. A oto inni nagrodzeni na tym festiwalu. Indywidualne nagrody aktorskie otrzymali: B. Baer, R. Dembiński, J. Chojnowski — za role w „Uciechach staropolskich" oraz P. Krukowski za rolę Byla w przedstawieniu telewizyjnym „Pustaków" Edwarda Redlińskiego.

W ŁODZI, w związku z obchodami 50-lecia Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego odbył się w maju Walny Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego.

W Zjeździe uczestniczyło około 150 delegatów reprezentujących ponad 4-tysięczną rzeszę archeologów i numizmatyków z całego kraju.

OD PRZYSZŁEGO roku akademickiego rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej będzie prof. Zygmunt Gzella.

JAK WIEMY, w bieżącym roku nie było niestety, kiermaszu książki. Żeby jednak łodzianom umożliwić spotkanie z pisarzami i uzyskanie autografu, „Dom Książki" udostępnić ma na ten cel niektóre księgarnie. W ten sposób czytelnicy mieli już możliwość spotkać się z Mirosławem Kuźniakiem, Jerzym Wilmańskim, Edwardem Szustrem, Edwardem Kopczyńskim, Władysławem Rymkiewiczem i Tadeuszem Gicgierem.

W STUDENCKIM TEATRZE „PSTRĄG" studenci filologii romańskiej Uniwersytetu Łódzkiego zaprezentowali — w oryginale — jednoaktowa komedię Moliera pt. „Małżeństwo z przymusu". Przy okazji spektaklu zorganizowano przy pomocy Polskiego Komitetu Współpracy i Alliance Francaise przy Uniwersytecie Łódzkim wystawę pt. „Historia komiksu francuskiego i belgijskiego".

W MUZEUM HISTORII MIASTA, 20 maja, odbył się uroczysty wieczór poświęcony pamięci gen. Władysława Sikorskiego.

W KLUBIE MPiK otwarta jest wystawa wyrobów ludowych środkowej Słowacji, pt. „Dary miłości". Eksponaty pochodzą ze zbiorów Słowackiego Muzeum Narodowego w Mortinie. Autorka wystawy jest dr Gabriela Horvathova i zorganizowano ją przy współudziale Czechosłowackiego Ośrodka Kultury i Informacji w Warszawie.

W OLSZTYNIE wręczono już, najwyższe doroczne wyróżnienia regionalne „Nagrody Warmii i Mazur". Wśród laureatów znalazł się łodzianin — poeta i prozaik Tadeusz Chróścielewki. Nagroda przyznana została za całokształt twórczości T. Chróścielewskiego związanej z tymi ziemiami.

W MIEJSKIEJ BIBLIOTECE PUBLICZNEJ im. Ludwika Waryńskiego otwarto wystawę pt. „Książka oskarża". Zaprezentowano na niej książki i czasopisma zniszczone przez czytelników; pomazane, podarte, z wydartymi kartkami a nawet całymi rozdziałami.

W MINIONYM tygodniu w Domu Filmu i Plastyki odbyła się czterodniowa sesja poświęcona twórczości Ingmara Bergmana pt. „Rytuał życia i śmierci". Wygłoszono referaty (R. Marszałek — „Samotność i wspólnota w filmach" i A. Kołodyński „Pion i poziom") i wyświetlono najwybitniejsze filmy I. Bergmana.

W LOKALU „PAX" (Piotrkowska 49) otwarta została wystawa pokonkursowa III Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego „Sacrum współczesnej plastyce polskiej". Na konkurs wpłynęło 148 prac 118 plastyków. Na wystawie swoje prace prezentowało 51 artystów. Otwarcie wystawy połączone zostało z wręczeniem nagród laureatom konkursu.

Konkurs plastyczny i wystawa zorganizowane zostały przez Łódzki Oddział Stowarzyszenia „Pax" i ZZG „Veritas".

W SALONIE Sztuki Współczesnej otwarta została wystawa malarstwa, grafiki i rysunku Andrzeja Gieragi.

W GALERII Sztuki Współczesnej można już od czwartku oglądać prace Krystyny Nadratowskiej-Górskiej.

W GALERII Bałuckiej natomiast otwarto wystawę malarstwa i grafiki Joanny Wiszniewskiej.

W IZBIE RZEMIEŚLNICZEJ w Łodzi w dniach 19—22 maja 1981 r. zorganizowana była okolicznościowa wystawa wyrobów artystycznych rzemiosła — z okazji „Dnia Rzemiosł Artystycznych".

Ogółem na terenie Izby Rzemieślniczej w Łodzi działa 8 rzemieślników, legitymujących się dyplomem „mistrz rzemiosł artystycznych" oraz 48 rzemieślników posiadających tytuły twórcy rzemiosła artystycznego". Ponadto 44 rzemieślników kandyduje do tytułu „twórcy rzemiosła artystycznego".

Udział w wystawie wzięło 20 wystawców. Wśród eksponatów: biżuteria złota i srebrna, biała broń, zbroje, hafty artystyczne, kilimy, stylowe meble, wyroby garncarskie, naczynia kryształowe, dzieła grawerów i brązowników.

Odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

będzie", ale sposoby zaradcze (emerytury i powrót na wieś) wydają się jednostronne. Najlepszy przecież zakład, tak to chyba można uogólnić, nie jest wyspą, a jego funkcjonowanie uzależnione od sytuacji w całym kraju. Za dyrektorem przemawia jednak jego 26 lat kierowania zakładem, to chwalebny ewenement. I chociaż nie czas liczenia zasług, trzeba pamiętać, że dopuszczalne błędy nie mogą przekreślić osiągnięć, które są trwałym kapitałem dla przyszłości.

J. GUMULSKI. Ostro polemizuje z dyr. Zientarskim, zarzuca mu autokratyczne rządy w zakładzie, dyktat nad KZ i związkami zawodowymi, manipulowanie ludźmi. (Tow. **Zientarski** odwołują się do przyszłej komisji kontrolno-rewizyjnej). Tow. **J. Gumulski** mówi dalej o swojej 4-letniej walce na wszystkich szczeblach, do KC włącznie. „Nigdzie nie mogłem znaleźć sprawiedliwości" — stwierdza z goryczą. Nie sposób się do sprawy ustosunkować na gorąco, ale temat na przyszłość sam się prosi pod pióro.

KILKU INNYCH TOWARZYSZY:

Mówią o sprawach do zrobienia: w zakładzie, w mieście. Mieści się w tym bloku i krytyka i pozytywne postulaty. Miasto potrzebuje nadal budownictwa mieszkaniowego, szkoły, przedszkola, żłobka, lepszego zaopatrzenia i większego poczucia bezpieczeństwa.

Odpowiada **J. Gos**, od kilku miesięcy nowy I sekretarz KMiG. Krótko, rzeczowo, z przekonaniem, które trzeba podzielić. Realia są wszystkim znane, program i hierarchię zadań trzeba wspólnie wypracować, nie oglądając się na „górę". Co zrobić do Zjazdu? Jak łączyć dyskusje z konkretnym działaniem w organizacji, która stanowi prawie połowę składu członkowskiego w mieście i gminie. W wielu sprawach musi jednak pomóc województwo. A z tym nie najlepiej. Władze miasta chcą ponownie spotkać się z kolegium prezydenckim, dokonać rozliczeń z poprzednich ustaleń ale jakoś nie wychodzi. **Stąd i prośba do prezydenta J. Niewiadomskiego: żeby wraz ze swoim sztabem rychło zajechał do Aleksandrowa...**

Tow. **Józef Gos** robi wrażenie człowieka, który wie, o co w obecnej sytuacji chodzi. Nie tak to częsty przypadek wśród sekretarzy jego szczebla. Nie powinien też obawiać się wyborczego sita, które dla niektórych funkcyjnych towarzyszy jest gorsze od trzęsienia ziemi.

WYBORY

Podpytuję, w przerwach na papierosa, jakie mają przymiarki, co przewidują. Uśmiech, wzruszenie ramion. To już nie ta ordynacja wyborcza, że kandydat zgłoszony przez komisję wyborczą praktycznie miał mandat w kieszeni. Teraz są prawdziwe wybory, delegaci zgłaszają, kogo chcą i w dowolnej liczbie. Dodatkowo podejmują uchwałę: że tylko ze swego grona, z delegatów. No, tak na wszelki wypadek, żeby nie próbowano kogoś podrzucić... Ale zdarza się incydent, podwójnie zastanawiający. Wniosek o skreślenie z listy wyborczej dwóch towarzyszy mających z przeszłości na sumieniu próby drobnych kradzieży. Dziwne, że wybrano ich w OOP, ale konferencja zakładowa nie jest tak tolerancyjna. W jawnym głosowaniu zostają skreśleni. Potem, już w tajnych wyborach do Komitetu Zakładowego (21 członków) i na konferencję miejską (32 miejsca) dokonuje się dalsza selekcja. Nie przechodzi nikt z zajmujących krańcową postawę, a nawet ci, o których półgębkiem mówiło się, że załoga widzi ich na czele organizacji partyjnej. Te wybory odbyły się naprawdę bez s c e n a r i u s z a. I sekretarzem KZ został **Andrzej Gławęda**, rocznik 1939, technik, dyspozytor wykończalni, członek partii od 1958, aktywista, m. in. wykładowca szkolenia partyjnego. Sekretarzami, co warto podkreślić, jego kontrkandydaci do funkcji szefa zakładowej organizacji: **A. Kozanecki, R. Kawalski, Cz. Mikołajczyk.** Nowy sekretarz ma zostać oddelegowany do nowej pracy, nie ma zamiaru przechodzić na etat KŁ PZPR, jak było dotychczas. W swoim „exposée" mówi: „Sami mnie wybraliście i musicie mi pomóc. Wszyscy, Egzekutywa, KZ i delegaci (którzy zachowują nadal swe mandaty). Inaczej nie będę czekał do końca kadencji". Mam jakieś dziwne przekonanie, że do tego nie dojdzie. Zresztą w całej partii żyjemy tym przekonaniem, żeby nigdy już nie doszło do... czego doszło. I coś dla tej sprawy próbujemy już robić.

JERZY WAWRZAK

KOLEJKA DO... PARTII

Nie ma dziś zebrań łatwych. Zebrania nie trwają krótko. I nie można powiedzieć, aby były nudne. Dyskusje są zażarte. Mówi się o wszystkim, co nurtuje, boli, martwi, niepokoi, co chciałoby się zmienić, naprawić. Mówi się na ogół z odpowiedzialnością za słowo, choć zdarzają się też wypowiedzi nieprzemyślane, pochopne dyktowane emocjami a nie rozumem. W pabianickim „PAMOTEXIE", na Konferencji Zakładowej PZPR takich przemówień nie było.

Pierwsze wrażenie było korzystne: sala starannie przygotowana, na stołach żółte tulipany w wazonach. Niby drobiazg, a stwarza przyjemny nastrój. Następne wrażenia też były korzystne. Już od koniec Konferencji Zakładowej zanotowałam sobie w notesie:

„Nie było oklasków! Zabierający głos swoje wystąpienia mieli napisane na kartkach, ale widać było, że są to przemówienia dobrze przemyślane, nie na efekt, że na te tematy dyskutowano już nie jeden raz, w szerszych gronach".

Jest to 26 Konferencja Zakładowa PZPR w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 roku „PAMOTEX" w Pabianicach. Organizacja partyjna tych zakładów liczy obecnie 910 członków i kandydatów.

Przed sierpniem 1980 roku było o 309 członków i kandydatów więcej. Część odeszła, część skreśliły „za bierność" organizacje partyjne. Żal tylko, że wśród tych 309 jest 297 robotników. To nie jest dobrze, kiedy z robotniczej partii odchodzą robotnicy. Dlaczego tak się dzieje?

Odpowiedzieć na to pytanie próbował **Stanisław Wiśniewski:**

„Wiemy dokładnie wszyscy, że od dłuższego czasu kierownicza rola partii w naszym zakładzie traciła na wartości w bardzo szybkim tempie. A przed historycznym sierpniem 1980 roku sprowadzona była niemal do zera. Działalność partyjna w poszczególnych OOP ograniczona była do organizowania raz w miesiącu zebrania i namówienia kogoś do wstąpienia w szeregi PZPR. Głównym kryterium oceny pracy OOP był wzrost szeregów partyjnych. Niewykonanie planu wzrostu szeregów sprowadzało się do stwierdzenia, że dana organizacja pracuje źle."

Z referatu **Renaty Marczak** — dotychczasowej sekretarz KZ PZPR w „PAMOTEXIE" wynotowuję sobie jeszcze kilka danych:

— kampania wyborcza w organizacji zakładowej zakończyła się tydzień temu. Konferencja Zakładowa odbywała się 18 maja 1981 roku.

— w 20 oddziałowych organizacjach partyjnych wybrano do władz 94 członków, w tym 61 po raz pierwszy,

— wśród nowo wybranych sekretarzy organizacji partyjnych, funkcję tę pełni po raz pierwszy 14 osób,

— wśród wybranych do władz jest 66 robotników; 21 kobiet i 8 działaczy organizacji młodzieżowej.

Można powiedzieć, że nie jest tak źle. Nowi ludzie, dużo robotników. Wybory tajne. A więc wybiera się na ogół tych, do których większość ma zaufanie.

Przed rozpoczęciem Konferencji Zakładowej **Renata Marczak** powiedziała mi:

— Poprzednio trzeba było wiele stracić czasu i energii, aby kogoś namówić do piastowania funkcji partyjnej. Też ludzie nie chcieli brać sobie dodatkowego kłopotu. Tylko, że takie rozmowy odbywały się w gabinetach. Dziś też nie wszyscy chcą. Odmawiają. Ale, jak już ktoś zdecyduje się kandydować i zostanie wybrany, to wstaje, dziękuje za zaufanie i bierze się do roboty.

Kiedy na mównicę wszedł dyrektor „PAMOTEXU" — **Andrzej Kuchniewski** wysłuchałam go ze zdwojoną uwagą, aby wyrobić sobie obraz pracy fabryki.

A więc pierwszy kwartał bieżącego roku był dobry. Planu nie wykonała w pełni tylko przędzalnia średnioprzędna — 99,5 procent i wykończalnia — 95,7 procent. Zrealizowano plan eksportu, choć towary nie wyszły na czas z bazy „Textilimpexu".

Gorzej dzieje się w drugim kwartale. Zaczynają się nakładać na siebie trudności: rośnie absencja, psują się maszyny (często brakuje do nich części zamiennych), pojawiły się kłopoty z zaopatrzeniem w surowce. Szczególnie dotkliwie fabryka odczuwa brak chemikaliów.

Również perspektywy na trzeci i czwarty kwartał nie są najbardziej korzystne. Trzeba będzie ograniczyć produkcję. Grozi też ograniczenie eksportu. Jakie to będzie miało rozmiary — trudno dziś powiedzieć.

Ale i optymistycznych prognoz nie brakuje. Jest już zgoda na modernizację przędzalni „Łąki", tkalni mechanicznej, gospodarki ściekowej. Nie ma jeszcze na budowę oczyszczalni ścieków. Przeprowadzi się adaptację pomieszczeń na mieszkania dla pracowników, dla przedszkola.

Niby wszystkie dyskusje na zebraniach partyjnych są dziś podobne do siebie. Podobne dlatego, że mówi się o tych samych problemach: o braku informacji szybkiej, rzetelnej, wyczerpującej; dominuje w dyskusjach nurt rozliczeniowy; mówi się o nadziejach, jakie partia wiąże z IX Nadzwyczajnym Zjazdem; krytykuje się wszystkie ujemne zjawiska w dotychczasowym działaniu partii; krytykuje się władze partyjne różnych szczebli; postuluje się wnikliwe zanalizowanie przyczyn kryzysów pojawiających się niemal cyklicznie w Polsce; domaga się gwarancji, aby już więcej takich kryzysów nie było. **A przecież każda dyskusja jest inna.** Każda wnosi coś nowego, dorzuca własne doświadczenia, przeżycia i przemyślenia do ogólnego nurtu partyjnej debaty. Tak było i w „PAMOTEXIE".

Nurt rozliczeniowy. Uważa się na ogół, że chodzi tu o wyciągnięcie konsekwencji w stosunku do tych wszystkich, którzy nadużyli władzy dla celów prywatnych, nadużyli zaufania klasy robotniczej, oderwali się od niej, spowodowali swoją działalnością poważny, głęboki kryzys, z którego tak trudno wyjść. Ale, jeśli uważnie wsłuchać się w dyskusję partyjną, to można zauważyć, że chodzi tu również o odrodzenie społecznej sprawiedliwości, o odbudowanie społecznego zaufania do tych wszystkich, którym z woli klasy robotniczej i z woli społeczeństwa powierza się władzę. Oto, co powiedział na ten temat **Mirosław Tosik.**

„Nie możemy pozwolić, aby ponownie do KC zostali wybrani towarzysze skompromitowani w kolejnych kryzysach społeczno-politycznych naszego kraju. Ponieważ liczą się oni z tym, że zostaną odsunięci od władzy, pozostawili sobie furtkę dla własnej kampanii wyborczej, a mianowicie możliwość wyboru na delegatów na Zjazd na konferencjach wojewódzkich. Musimy pamiętać, że odnowa w naszym kraju zagraża pewnym grupom, które wcale nie są takie nieliczne. Chodzi tu nie tylko o pojedyncze osoby na kierowniczych stanowiskach, ale także o ludzi z aparatu gospodarczego, administracyjnego, partyjnego. Boją się oni wyborów, boją się Zjazdu, bać się będą w przyszłości wyborów do Sejmu, boją się reformy gospodarczej. I będą robić wszystko, aby obronić swoje pozycje."

Stanisław Wiśniewski problem rozliczeń, sprawiedliwości społecznej i właściwej polityki kadrowej widzi nie tylko w skali globalnej, ale przede wszystkim w skali fabryki.

„...czy trzeba było aż strajku, aby wyeliminować z naszego życia ludzi skompromitowanych, ordynarnych karierowiczów, tępiących na każdym kroku prawdomówność i uczciwość? — mówił w dyskusji. — **Mam tu na myśli byłego szefa produkcji do spraw wykończalni. To właśnie robotnicy dostrzegali wiele nieprawidłowości w jego działaniu i właśnie na wniosek załogi został zwolniony z pracy, a nie — jak podano — na własną prośbę. Dziwię się, że tego nie dostrzegał Komitet Zakładowy, mimo że niewłaściwe stosunki między ludźmi w wykończalni były wszystkim dobrze znane. Informowali o tym KZ sekretarze OOP wykończalni i inni członkowie partii. Ale radzono tym towarzyszom, aby osobę szefa produkcji do spraw wykończalni pozostawić w spokoju, bo nic to nie zmieni, a oni mogą sobie tym tylko zaszkodzić. A przecież ten człowiek przy poprzednim zakręcie został wyeliminowany z „Obrońców Pokoju" z takich samych powodów. Powiadają, że do trzech razy sztuka. Pożyjemy, zobaczymy.**

Szeroko wśród załogi naszych zakładów szerzyło się powiedzenie, że w stosunkach między ludźmi wytworzył się u nas „pociąg przyjaźni". Pasażerom tego „pociągu" stwarzano luksusowe warunki „podróżowania". Korzystali oni w maksymalny sposób z wielu dóbr... Ale byli członkowie załogi, którzy „jechali w tym pociągu" drugą klasą i byli tacy, którzy musieli „podróżować" wagonami towarowymi.

Pod płaszczykiem reorganizacji tworzono takie komórki organizacyjne, aby niektórym osobom stwarzać cieplarniane warunki i wysokie płace. W odczuciu członków partii nie miało to nic wspólnego z poprawą warunków pracy i organizacji pracy".

W dyskusji padło wiele krytycznych uwag pod adresem Komitetu Zakładowego. Mówił o tym **Bogusław Zaręba. Wiesław Fraszak** pytał, dlaczego I sekretarza KZ nie widać było na salach produkcyjnych? Pytano też, dlaczego, mimo licznych postulatów i żądań, nie zorganizowano wcześniej zebrania całej organizacji partyjnej. Krytykowano taki styl pracy KZ, kiedy sprawy czysto partyjne załatwiano w dyrekcji. Dyrekcja jest nie od tego.

„Nie możemy pozwalać na to — powiedział **Mirosław Tosik — aby w dalszym ciągu była taka praktyka, że poszczególni towarzysze, a nie cała partia decydują o tym, co jest dobre dla partii i kraju, a co nie."**

Ryszard Maj miał za złe, że zbyt mało się mówi o młodzieży, a to przecież młodzież bierze w swoje ręce sprawę odnowy. Sprzeciwił się też postulatowi, aby do władz partyjnych mogli być wybierani ludzie, którzy mają pięcioletni staż pracy w zakładzie. Jest to niedemokratyczne i ogranicza możliwości rozwoju młodych. Kto z młodych będzie chciał w takich warunkach wstępować do partii?

Po długiej, burzliwej i ciekawej dyskusji Konferencja Zakładowa w „PAMOTEXIE" wybrała Komitet Zakładowy partii, jego egzekutywę oraz delegatów na konferencję miejską w Pabianicach. I sekretarzem KZ został wybrany **Tadeusz Grabowski.** Delegatem załogi na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR — **Mirosław Tosik.**

„Życzymy nowemu Komitetowi Zakładowemu i sobie, między innymi tego — powiedział **Stanisław Wiśniewski — aby kolejka ludzi, którzy będą oczekiwać na przyjęcie w poczet członków PZPR była tak długa, jak obecnie długie są kolejki po artykuły spożywcze."**

Piękne to życzenie. Już dziś niektórzy z tych, którzy oddali legitymację, zastanawiają się, czy nie wrócić do partii. Ale, czy partia będzie ich chciała?

BOGDA MADEJ

TYDZIEŃ W POLITYCE

Trzy wydarzenia ub. tygodnia zwracają naszą uwagę: przejęcie urzędu prezydenckiego we Francji przez zwycięzcę niedawnych wyborów — F. Mitterranda, rozmowy kanclerza Schmidta w Waszyngtonie oraz nadal przebieg śledztwa w sprawie zamachu na papieża Jana Pawła II.

Ceremonia przekazania władzy socjalistycznemu prezydentowi odbyła się 21 bm. w Pałacu Elizejskim. Agencje podkreślają, że uroczystość nie trwała długo, a jej najistotniejszym elementem, w trakcie rozmowy Giscarda d'Estaing ze swym następcą, było przekazanie mu kodu, pozwalającego na uruchomienie francuskich sił nuklearnych. Jest on znany jedynie prezydentowi Republiki.

Tego samego dnia Mitterrand mianował nowego premiera. Został nim **52-letni Pierre Mauroy,** którego główne zasługi sprowadzają się do czynnego włączenia się w 1971 roku w dzieło, podjęte przez Mitterranda, odbudowy nowej partii socjalistycznej.

O Mauroy można powiedzieć, że jest **gorącym zwolennikiem odegrania przez Europę znaczącej roli w polityce światowej** oraz ukształtowania prawidłowych stosunków Północ-Południe. On sam mówi, że jego polityka zagraniczna będzie się opierać na „zasadach praw człowieka i praw narodów".

W związku ze zmianą warty we Francji zauważmy i to, że Mitterrand będzie pierwszym prezydentem V Republiki, któremu **niechętne jest Zgromadzenie Narodowe.** (Obecnie przewaga centrum i prawicy mierzy się 70 głosami). Dlatego też ważne są z jego punktu widzenia wybory parlamentarne. Gdyby przyniosły one przychylną mu większość — mógłby śmielej realizować swój program reform gospodarczych i społecznych. Ale i w przeciwnym wypadku zapowiada ściślejszą współpracę ze Zgromadzeniem. Jak bowiem przewiduje się — będzie pragmatycznym prezydentem, umiejącym dostosować swój program legislacyjny do możliwości poparcia go przez większość deputowanych.

Temat: zmiana prezydenta we Francji interesuje nie tylko Francuzów. Również my — Polacy, z uwagi na wielokrotnie poprzednio podkreślany „specjalny charakter" stosunków między naszymi państwami, **ciekawi jesteśmy, jak w nowej sytuacji rozwijać się będzie współpraca polsko-francuska.** Nie trzeba dodawać, że nie chcielibyśmy uronić nic z dotychczasowych dobrych doświadczeń.

Niemało zainteresowania wzbudziła wizyta kanclerza Schmidta w Stanach Zjednoczonych. Nie jest to wprawdzie jego pierwsze spotkanie z nowym prezydentem — Reaganem, ale tym razem **szef rządu zachodnioniemieckiego pojechał do Waszyngtonu, aby m. in. omówić sprawę rokowań ze Związkiem Radzieckim,** na co nalegają doły partyjne SPD.

Agencje podkreślają, że już w czasie pierwszego spotkania z prez. Reaganem oświadczył, iż **Europa zachodnia oczekuje rozpoczęcia rozmów.** Rokowania powinny zostać podjęte i jego wizyta ma przyczynić się do wyjaśnienia stanowiska USA w tej sprawie.

Powołując się na te same źródła podajemy, że prezydent Reagan miał zapewnić, że administracja podjęła decyzję o rozpoczęciu rokowań w dogodnym terminie. Trwają przygotowania i wymiana poglądów kanałem dyplomatycznym. Zdaniem strony amerykańskiej — nastąpi to najpewniej jesienią, chociaż termin nie został jeszcze ustalony i przesądzony.

Komentując ten fragment rozmów agencja DPA pisze, iż Schmidt wykazuje w Waszyngtonie dość dużą wstrzemięźliwość, choć nie może wrócić z podróży z pustymi rękami. Boi się jednak, aby jego stanowisko nie zostało zrozumiane jako żądanie, co mogłoby do niego zrazić Reagana i jego ekipę. Tak wydarzyło się przed laty, kiedy wobec żądań i rad strony zachodnioniemieckiej przedwcześnie popsuły się stosunki z Carterem.

Zainteresowanie opinii publicznej **skupia się nadal wokół osoby papieża Jana Pawła II.** Dochodzi on szybko do zdrowia i w ograniczony sposób włącza się już w życie Watykanu. Rekonwalescencja — zdaniem lekarzy — będzie jednak długa. W związku z tym poddaje się w wątpliwość, czy będzie dotrzymany październikowy termin jego wizyty w Hiszpanii.

O kulisach zamachu, a przede wszystkim motywach, wciąż nie wiele wiadomo. Śledztwo nie przyniosło dotąd żadnych jednoznacznych ustaleń. **Zamachowiec kluczy w zeznaniach 1** — według źródeł rzymskich — celowo kieruje uwagę przesłuchujących go w niewłaściwą stronę. Jedno wydaje się pewne: jeśli nawet na placu św. Piotra był sam, to jego podróże do różnych krajów finansowała jakaś bogata organizacja. Wiele na to wskazuje, że jest to organizacja neofaszystowska, która zamachami na znane osobistości chce wprowadzić stan napięcia wśród narodów i państw.

W. SŁAWSKI

REGIONALNY PAKIET KONTROWERSJI

(rozmowa z IRENEUSZEM PRĘDKIM, przewodniczącym MKZ NSZZ „Solidarność" — „Ziemia Piotrkowska")

— Z „Solidarnością" piotrkowską władze mają podobno jedwabiste życie. Pana samochód niektórzy związkowcy widują pod KW PZPR, gdzie z kolei sekretarki pana nie lubią — bo wypija pan za dużo kaw.

— Od czasu objęcia funkcji przewodniczącego MKZ, w budynku Komitetu Wojewódzkiego nie byłem ani razu. Owszem, zaparkowałem tam kiedyś, bo przed Urzędem Wojewódzkim nie było miejsca, a tam było najbliżej.

— Jak często przedtem bywał pan w Komitecie Wojewódzkim partii i w jakim charakterze?

— Przed objęciem funkcji przewodniczącego byłem kilka razy. Jako działacz TPPR — gdyż byłem przewodniczącym TPPR w swoim zakładzie. Wręczano wtedy działaczom odznaczenia. Byłem tam też jako przodownik inicjatyw społecznych, tak to się chyba nazywało. Bo byłem i jestem przewodniczącym samorządu mieszkańców.

— O ile pamiętam, samorządu wyróżnionego?

— A tak, w bieżącym roku otrzymaliśmy pierwszą nagrodę z Wojewódzkiego Komitetu FJN w Piotrkowie w konkursie na najlepsze osiedle, w ubiegłym — nagrodę drugą, a także pierwsze miejsce — bo to też dorobek samorządowy — za zorganizowanie w Opocznie Międzynarodowego Roku Dziecka. Byłem przewodniczącym Miejsko-Gminnego Komitetu Obchodów.

— Dbałość o dzieci widoczna jest i tutaj, w Domu Kultury. W hallu „Bistorka" odczytałam komunikat Komitetu Domowego nr 22 o zajęciach Dziecięcego Baletu Współczesnego. Podpisano: Ireneusz Prędki. Znajduje pan jeszcze czas na samorząd?

— Trzymam to do wyborów. Jeśli nie przejdę, zajmę się działalnością samorządową.

— Czy nadal działa pan w TPPR?

— Nie. Zrezygnowałem od razu po objęciu funkcji związkowej. Nasz statut nie przewiduje łączenia funkcji związkowej z funkcją w organizacji politycznej.

— Politycznej?

— Oczywiście, że politycznej. Tak jak i ZSMP podporządkowanej statutowo przewodnictwu PZPR. Zastanawia panią moja aktywność w TPPR? Byłem, jestem i będę za rozwijaniem przyjaźni między narodami.

— Zastanawia mnie coś innego. To, że żywi pan niechęć do zdolnego człowieka, a mówię o panu Kwietniu z tomaszowskiego „Wistomu", tylko dlatego, że studiował w Moskwie. Tak przynajmniej twierdzi przewodniczący Delegatury w Tomaszowie, pan Jobczyk.

— Ależ ja w ogóle nie wiem, że on studiował w Moskwie! Wiem, że studiował tam wicewojewoda Wałach, bo sam mi to powiedział, a poza tym... ja nie mam takich kryteriów. Ja do dziś na przykład nie wiem, kto w Prezydium MKZ jest partyjny, a kto bezpartyjny, bo mnie to w ogóle w działalności związku nie interesuje.

— Mówił pan kiedyś, na założycielskim spotkaniu, że przewodniczący jest równoprawnym członkiem Prezydium, tyle że uprawnionym do reprezentacji na zewnątrz. To upoważnienie w pewnych wydzielonych sprawach może mieć równie dobrze kto inny. Czy właśnie tak pracuje Prezydium MKZ? Jak wypada konfrontacja teorii z paromiesięczną praktyką?

— Teoria zostaje bez zmian. Członek Prezydium nie jest podkomendnym przewodniczącego, a idealnych posiedzeń u nas nie ma. Albo ktoś nieobecny, albo ktoś się śpieszy...

— W Tomaszowie obraził się pan podobno i wyszedł z obrad?

— Poza Prezydium były jeszcze inne osoby z terenu gospodarzy. Mogli oczywiście być, mogli się przysłuchiwać, ale ja nie będą podejmował gry, kiedy czterdziestu strzela do jednej bramki...

— Bez porozumienia z Prezydium, a więc niedemokratycznie, zwolnił pan z MKZ dwie osoby. To zarzut następny.

— Proszę pani, nie można mylić dwóch pojęć: odpowiedzialności i demokracji. Jeżeli ja za coś odpowiadam imiennie i konkretnie, jak na przykład — za prawidłową działalność MKZ, to całe grono może mieć przeciwne zdanie, a ja postąpię zgodnie z obowiązkiem i tak, jak mi sumienie dyktuje. Demokracja nie może oznaczać bałaganu. Powody rozwiązania umów o pracę są udokumentowane. Nie sprawdzili się ci ludzie w pracy biurowej.

— Co jest przyczyną najostrzejszych wewnętrznych konfliktów?

— Pieniądze.

— Stawiam znak zapytania.

— Przykładem „Wistom" w Tomaszowie. Działacze stamtąd tak właśnie rozumieją niezależność związkową, że nie respektują przyjętych zasad finansowych i chcą sami, poprzez miejscową Delegaturę, dysponować tą częścią składek, jaka powinna być odprowadzana do MKZ i Komisji Krajowej. Uważają, że statut jest tworem tymczasowym, niedoskonałym i forsują swoje uchwały. A dla mnie dokumentem numer jeden jest statut, następnie uchwały Komisji Krajowej, uchwały MKZ i przepisy finansowe, bankowe.

— Pozbawił pan związkowców „Wistomu", a jest ich parę tysięcy, tygodnika „Solidarność". To był ciężki cios...

Leżą te egzemplarze w depozycie. Odprowadzą składki, dostaną. Jeśli nie, przekażemy te egzemplarze innym komisjom zakładowym, które ze składkami nie zalegają. Ja panu Jobczykowi zablokowałem nawet pensję z konta MKZ... No, bo dlaczego przewodniczący Delegatury Tomaszów ma pobierać pensję z funduszów MKZ, do którego nie chce odprowadzać składek? Proszę pani, przecież to walne zebranie delegatów z województwa musiało zadecydować o potrzebie i kupnie samochodu — fiata dla MKZ. Do tego musiał być podpis Wałęsy. A w „Wistomie" związkowcy kupili sobie samochód ze składek — sami...

— Nie ma szans na porozumienie? Przecież to już kwiecień?

— To się musi rozwikłać. Niektórzy muszą zrozumieć, że „Solidarność" to nie są niezależne samorządne związki — w liczbie mnogiej, tylko — jeden związek, który ma jeden wspólny dla wszystkich statut. Przecież Sąd Najwyższy zarejestrował „Solidarność" na bazie statutu, szła walka o przecinki, byłem przy tym, a tu takie lekceważenie całego rozdziału... Kto tego nie może pojąć, to może chce należeć do całkiem innego związku? Albo może chce utworzyć własny? Prawda jest taka, że większe zakłady chcą mieć większe, decydujące prawa.

— Kompleks giganta? Czy może to, że robotnicze środowiska wielkoprzemysłowe mają bardziej wyczulony i rozwinięty zmysł organizacyjny i pierwsze wybiegają z propozycjami zmian, wyczuwając niesładność założeń z praktyką?

— Raczej to pierwsze. Sprawy te mogą wyjść na pierwszym naszym zjeździe.

— Czy odczuwacie brak funduszów?

— Na razie nie, ale by prowadzić działalność merytoryczną, powołać Regionalny Ośrodek Społeczno-Zawodowy, trzeba funduszów — po to, żeby zatrudnić i opłacić fachowców, na przykład prawników, ekonomistów... MKZ liczy w chwili obecnej około siedemdziesięciu tysięcy związkowców, 230 komisji zakładowych, więc spraw do załatwienia jest wiele.

— Nie działa na przykład komisja interwencyjna, w innych emkazetach pierwszoplanowa...

— Będzie.

— Wróćmy do tych „jedwabistych" układów z władzami, w których wyjątkiem, jak się słyszy, był grudniowy strajk okupacyjny Urzędu Wojewódzkiego jako protest przeciw zbyt niskim przydziałom mięsa i wędlin przed świętami.

— To była konieczność... Jak dotąd spotykałem się raczej z opinią, że mam złe układy z władzami.

— Były wojewoda nie ocalił swojej reputacji społecznej na łamach „Odgłosów"; wręcz przeciwnie. Wielu ludziom satysfakcję dawał oficjalny komunikat PAP, że wojewoda Wysłocki został odwołany. Tymczasem przewodniczący MKZ i przewodniczący Delegatury w Piotrkowie, składają mu pożegnalną wizytę. Czy ma pan świadomość, że działacze są tym faktem zbulwersowani?

— Nie wiedzieliśmy, jaki był cel zaprosin. Panu Wysłockiemu zależało osobiście na tym, by wobec nas podkreślić, że odszedł na własną prośbę i podziękować nam, przedstawicielom „Solidarności", za współpracę. Nie byliśmy tam prywatnie. Mamy prawo do reprezentowania związku w urzędach.

IRENEUSZ PRĘDKI: Demokracja nie może oznaczać bałaganu.

— Może ludziom nie o taką reprezentację idzie?

— Ludzie słyszą, czytają o ostrych przetargach z władzami w innych województwach, o skutecznych protestach wobec nadużyć władzy i to samo chcieliby widzieć u nas. Ale w województwie piotrkowskim nie jest skrajnie źle, nie ma skrajnych wypadków nadużyć, takich wyzywających. Przez to nie ma ostrych wystąpień. A ja po prosu pamiętam, jaką pełnię funkcję: funkcję przewodniczącego zarządu regionalnego związków zawodowych. Nie jestem prokuratorem, śledczym milicyjnym czy kimś podobnym. Wojewodę zmienił premier, nie musieliśmy tego robić my — i taki układ jest prawidłowy.

— Ale jest w sąsiedztwie bojowy MKZ „Ziemi Łódzkiej", który zachęca... Niektóre zakłady przeszły tam, tam należy Radomsko i jakoś nie udało się scalić wszystkich zakładów w „Ziemi Piotrkowskiej"...

— To, co robią w Łodzi, to jest efektowna działalność zewnętrzna, propagandowa, plakatowa, bo jest tam wielka baza poligraficzna. U nas jej nie ma, ale ja nie jestem zwolennikiem takich efektownych metod. Są tacy, co szukają poklasku, chcą być bohaterami konfliktów, zwracać na siebie oczy kraju i świata, a ja jestem zwolennikiem żółwiej, mrówczej pracy.

— Takie słowa mogą panu nie przynieść popularności...

— Nie zależy mi na popularności, lecz na rzetelnej ocenie.

— Rzetelnie oceniam, że wzburzył pan tą wizytą wielu członków.

— Jeśli ludzie wybrali Prezydium MKZ, to powinni okazać zaufanie. A myślą tak: myśmy was wybrali, ale będziemy trzymać w cuglach... To jest taki przechył demokracji. Przedtem też przechył mieliśmy, tylko odwrotny: Biuro Polityczne tworzyło program, zadania dla całego narodu, ale bez narodu i często wbrew jego woli. Mała grupa decydowała za naród. Dziś pracuje jakaś mała grupa, wybrane ciało przedstawicielskie, kilka czy kilkanaście osób, a kilka czy kilkadziesiąt tysięcy chce — by kontrolować ich najmniejszy krok, ubezwłasnowolnić — w imię demokracji.

— Sparzyli się na zaufaniu. Przejdźmy do...

— Jeszcze co do jedności związku na terenie województwa. Nie jest tak źle, w końcu wszyscy należą do jednej „Solidarności", a rejestrowano się, gdzie akurat było wygodniej. W województwie działają pewne stare antagonizmy, jak między Piotrkowem, a Tomaszowem. Nie ma ich z Bełchatowem. Właśnie załatwiamy formalności z przejściem Bełchatowa z MKZ-Katowice. Myślę, że zgodnie z uchwałą KKP o regionach zgodnych z podziałem administracyjnym kraju, przejdzie też do nas Radomsko. Oczywiście, na siłę nikogo zmuszać nie będziemy.

— Przejdźmy do sprawy uznawanej na zebraniach delegatów z Piotrkowa za najważniejszą: nie widać żadnych starań o przeniesienie MKZ do siedziby województwa, do Piotrkowa. Opoczno jest na krańcu, trochę za daleko...

— Czy to jest argument: za daleko? Z Rzeszowa do Gdańska też jest daleko, a jakoś Komisji Krajowej nie przenosi się do Warszawy. Przy ZPW w Opocznie mamy po prostu najlepsze warunki lokalowe, wyposażenie techniczne. Lokal dla biura, dwie sale konferencyjne, duża i mała, stołówka, kawiarnia; to nie jest bez znaczenia przy zjazdach delegatów na wiele godzin obrad.

— Fatalne warunki lokalowe, jak też i marne wyposażenie techniczne ma Delegatura w Piotrkowie. Od września nie dorobili się powielacza, a obsłużyć winni 25 tysięcy członków. Zapowiadają rezygnację kolejni działacze...

— Działalność zależy od działaczy. Dla mnie MKZ może być nawet w Rozprzy, byleby dobrze działał. A jeżeli w Piotrkowie widać początek organizacyjnego rozkładu, to ja tematu przeniesienia na zebraniach podejmować nie chcę, no bo do czego przenosić MKZ?

— Przed „Solidarnością" wybory do władz regionalnych. Jak pan ocenia własne szanse, członków Prezydium MKZ?

— Był okres na sprawdzenie się działaczy i myślę, że w wyborach ludzie rzetelnie ocenią i wybiorą najlepszych.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
TERESA LECHOWSKA

ADAM WĘDRYCHOWICZ

„POSTAWY DOSYĆ WĄTKU MAŁO"

(Refleksje nad tezami programowymi NSZZ „Solidarność")

Wybrany cytat Jana Kochanowskiego jako tytuł artykułu, najrzetelniej oddaje wrażenie, jakie pozostawia na mnie lektura „Kierunków działania związku w obecnej sytuacji kraju". Z chwilą, kiedy „Solidarność" stała się ważnym i legalnym ogniwem w mechanizmie stosunków politycznych w Polsce, przyjęła na siebie publiczny obowiązek wsłuchiwania się w głosy obywateli.

„Kierunki działania związku..." to dokument pod niektórymi względami zasługujący na uważną lekturę czytelników. Tezy programowe — to w pierwszym rzędzie zarys aspiracji i panoramy dążeń Związku Zawodowego „Solidarność", rozległością i wielorakością zawartych dyspozycji programowych dorównujący prawie Konstytucji 3 Maja, bądź Manifestowi PKWN, co jak na program Związku Zawodowego jest osobliwością w historii ruchów zawodowych w ogóle.

Cisną się pytania — czy przedstawiony tekst jest proklamacją założeń i wytycznych działania do władz państwowych? (na co mogłoby wskazywać skromne potraktowanie cz. V Życie związku). Czy jest to manifest autorów dążących do generalizacji postawy heroicznej? Czy wreszcie, adresatem „Kierunków" jest sam związek, co zważywszy na charakter instytucji ruchu związkowego i ograniczoność środków w porównaniu do obfitości „Kierunków..." skazywałoby autorów na niepowodzenie, bądź nakazywało odwoływać się do innych zorganizowanych sił w Polsce, a intencji takiej „Kierunki" raczej nie sugerują.

Lektura „Kierunków..." skłania do przeświadczenia, że mamy do czynienia ze swego rodzaju dokumentem — manifestem firmowanym i etyką chrześcijańską i politycznym wezwaniem demokracji i socjalistyczną myślą społeczną. Słowem — firmowanym eklektyzmem wszystkich barw i odcieni. Odwołanie się autorów Tez — Wartości podstawowe punkt 1. — do różnorodnych doktryn i różnorodnych elementów tych doktryn, mogą wskazywać, że twórcy tekstu — w najlepszym razie — reprezentują różnorodne postawy psychiczne oraz rozbieżnie interpretują „Wartości podstawowe". W historii ruchów społecznych i doktryn znane jest zjawisko różnicowania się ich treści ideowych w zależności od środowiska i przenoszenie postawy z jednej na drugą, na gruncie tej samej ideologii. Ogniwem łączącym wspomnianą różnorodność doktryn w projekcie programu „Solidarności" jest eksponowanie pola „co się należy" z pominięciem pola „co można".

Józef Kozielecki — w rozważaniach o godności człowieka — pisze, że musimy nauczyć się, jak utrzymać równowagę między wartościami produkcyjnymi („chłodna" technologia) a moralnymi („ciepła" etyka). Kiedy równowaga ta zostaje zachwiana... powstają różnorodne zaburzenia i deformacje... i zaciera się granica między dobrem a złem, między „chcę" a „mogę". Uwagi te można odnieść i do programów społecznych, gdyż każdy ambitniejszy program musi liczyć się z tą relacją pod groźbą popadnięcia w utopię. W porządku historycznym relacja, o której mowa, pojawia się jako problem wzajemnego stosunku — celów i środków — i bagatelizowanie jej jest błędem lub demagogią, bądź jednym i drugim. „Kierunki działania związku..." w nie zmienionej wersji uzasadniałyby taki zarzut.

W dziejach ruchów społecznych, a zwłaszcza tych, które dążą do władzy i legitymizacji, relacja celów i środków jest czasem podporządkowana taktyce skuteczności, co przejawia się w preferencji środków — kosztem celów lub przeciwnie. Nasycenie „Kierunków..." — w części prezentującej wartości ideologiczne — stanowczymi zwrotami: „dążyć będziemy do", „bronić będziemy", „żądać będziemy od", „musimy być zdeterminowani" itp., plastycznie oddaje kondycję emocjonalną dokumentu. Na tej podstawie można odnieść wrażenie, że autorzy projektu programu ciągle jeszcze odurzeni są — mówiąc słowami L. Wałęsy — klimatem konfrontacji, chociaż odżegnują się od niego i pragną ustrzec się sytuacji „narzucenia sobie myślenia w kategoriach oblężonej twierdzy". Charakterystyka i klimat emocjonalny Tez, siła z jaką L. Wałęsa mówi o konieczności zmiany metod działania związku, reakcje niektórych członków Prezydium KKP na „warszawskie" porozumienie z rządem oraz skłonność wielu członków kierownictwa związku do nieliczenia się z zasadą proporcjonalności kosztów społecznych — przyczyn i reakcji — jakie niektóre ogniwa „Solidarności" gotowe byłyby przedsiębrać w sporach i konfliktach społecznych świadczą, że „sytuacja oblężonej twierdzy" może być ożywiona siłami wewnętrznymi „Solidarności", a Tezy programowe w udostępnionej wersji odpowiedniejsze są do „klimatu konfrontacji" niż „klimatu porozumienia"; uporczywość, wyrazistość i stężenie klimatu emocjalnego w Tezach świadczyć mogą, że zabieg uwolnienia się od odurzenia „napięciem" nie jest łatwy.

Moje wątpliwości budzą te fragmenty tekstu, które traktują o tradycjach narodu i tradycjach etyki chrześcijańskiej. „Gdy ktoś powiada nam — pisał jeden z największych humanistów i uczonych prof. S. Ossowski — że kieruje się etyką chrześcijańską, to zawsze mamy prawo ze względów historycznych pytać go, jaką mianowice etykę ma na myśli". Jeśli autorzy nie kwestionują mi tego prawa, to chcę właśnie je postawić. Jaką tradycję chrześcijańską mają na względzie? A także do jakiej socjalistycznej myśli społecznej będą nawiązywać?

Czy nawiązywać będą do tradycji dominium mundi (panowania nad światem) i do Grzegorza XVI, który w encyklice „Mirari vos" potępia to „niedorzeczne mniemanie, a raczej szaleństwo, że wolność sumienia powinna być przyznawana każdemu człowiekowi... z tym łączy się wolność słowa, to najgorsze zło, które nigdy nie może być dostatecznie znienawidzone i przeklinane"... A może do tradycji „Rerum novarum"?

Pod sztandarami tych samych zasad i barw mogą się znaleźć różne

Dalszy ciąg ze str. 1

SZPITAL NA ZAKRĘCIE

lenie tamtejszych lekarzy. Zresztą opinie zainteresowanych rozmówców na temat konfliktu w ZOZ głowieńskim okazały się podobne. Przytoczę je w dalszej części artykułu.

NA TRZYDZIESTYM KILOMETRZE

za Łodzią, przy ruchliwej szosie E-12 w kierunku Warszawy, stoi w Głownie niewielki szpital. Codziennie zwozi się tu ludzi z wypadków drogowych, średnio dwóch na dobę. Chirurdzy, mający do dyspozycji tylko maleńką salkę operacyjną, z trudem nadążają: jeden pacjent już leży na stole, drugi i trzeci czekają na swoją kolejkę.

Rolę szpitala pełni niezmiennie od 15 czerwca 1942 roku stara willa. Mimo wielu zabiegów adaptacyjnych i rozbudowy, jest budynkiem mało funkcjonalnym.

Zespół Opieki Zdrowotnej w Głownie działa od lipca 1975 roku. Zasięgiem swoim obejmuje miasto i gminę Głowno oraz Stryków. Jest to obszar wielkości prawie 300 km kw. niefortunny, rozciągnięty wzdłuż szosy E-12, mający w miejscu najszerszym około trzydziestu kilometrów, a najwęższym osiem. Osiemnaście tysięcy ludności mieszka w miasteczkach, drugie tyle na wsi. Dróg kategorii I i II jest niewiele, olbrzymia większość to drogi chłopskie

Podstawową opiekę zdrowotną zapewniają cztery wiejskie ośrodki zdrowia z pełną obsadą lekarsko-pielęgniarską i sześć rejonów zapobiegawczo-leczniczych w przychodniach rejonowych w miastach. Jedyny szpital w Głownie ma tylko 122 łóżka dla dorosłych i 22 dla noworodków i wcześniaków. W tym chirurgia posiada 45 łóżek, interna również 45, ginekologia 12, położnictwo 20.

— *Pacjent nie może cierpieć tylko z tego powodu, że mamy ciasnotę, że brak windy. On tego nie odczuwa, ale my tak. Często nadrabiamy własnym grzbietem* — powiedział dr *Daniel Marcinkowski*, stomatolog i lekarz medycyny, przygotowujący się do specjalizacji z interny.

Pracuje tu pięć lat. Ma etat w przychodni w Głownie i kilka „godzin" w szpitalu. Codziennie, podczas obchodów „wyłapuje" pacjentów, którym potrzebne jest leczenie stomatologiczne, a później kontynuuje je podczas ich pobytu na oddziale. Niejeden chory wiele zawdzięcza dr *Marcinkowskiemu*. Ludzie ze wsi rzadko zaglądają do dentysty. Odległości, brak czasu...

WOJNA W ZOZ

Pracownicy przychodni w Strykowie, dr *Wacław Tracz* i dr *Taida Butkiewicz*, przełożona pielęgniarek — *Zofia Szymańska*, próbowali ogłosić strajk, pozamykać ośrodki zdrowia. Chodziło im przede wszystkim o zmianę dyrekcji. Przewodniczący Rady Zakładowej, dr *Sobczyński*, nie ukrywał swego stosunku do przełożonych.

— *Nie chcemy nikogo z Łodzi, my też możemy być dyrektorami. Samochód dowożący łódzką kadrę musi być zlikwidowany! Nie będzie samochodu, przestaną przyjeżdżać.*

Na szczęście do strajku nie doszło. Przeważył zdrowy rozsądek większości pracowników, poczucie odpowiedzialności za człowieka chorego.

Dr *Włodzimierz Sobański*, p.o. kierownika Wiejskiego Ośrodka Zdrowia w Karnkowie:

— *Taki pomysł mógł wykiełkować tylko w głowie człowieka bez skrupułów, pełnego nienawiści. To przerażające, że wśród służby zdrowia są tacy. Nie wzięliśmy udziału w zebraniu organizowanym w Strykowie, bo w naszym przekonaniu było ono nieuczciwe. W bezczelny sposób chciano nas wciągnąć w jakąś rozróbę przeciwko dyrekcji.*

Dr *Mirosława Tomaszewska* — stomatolog:

— Wizja strajku służby zdrowia zupełnie do mnie nie przemawia. A co z chorymi?

WÓZ W NIESUŁKOWIE

— Byliśmy tak oburzeni postępowaniem dr *Tracza* i przełożonej pielęgniarek ze Strykowa, *Zofii Szymańskiej*, że wspólnie z szefem, *drem Ilinem*, napisaliśmy oświadczenie do dyrekcji ZOZ — mówi dr *Przybyszewski*. — *Bez żadnych ogródek, zaraz na wstępie zażądano od nas, aby zamknąć ośrodek, a na drzwiach wywiesić kartkę: „Przychodnia z powodu strajku nieczynna do odwołania". Dr Tracz nie ukrywał, że chodzi mu o osobiste porachunki z dyrekcją. — Muszę ich załatwić, i to właśnie teraz — powiedział nam. Bardzo się dziwimy, że dosłownie parę osób, które można zliczyć na palcach jednej ręki, bezkarnie rozrabia.*

Na terenie całego ZOZ Głowno nie było źle. W każdym wiejskim ośrodku zdrowia jest kadra lekarzy specjalistów, nawet z drugim stopniem specjalizacji; zdarzają się również lekarze z doktoratami, tak jak chirurg z Niesułkowa Średni personel medyczny to wysoko kwalifikowane pielęgniarki. Zadbał o to dyrektor Rafał Minich. Szybko po objęciu swego stanowiska doprowadził do tego stanu. A wiadomo, że kadra medyczna wiejskich ośrodków zdrowia pozostawia jeszcze wiele do życzenia, że do dziś, także na terenie woj. łódzkiego, pacjentów przyjmują gdzieniegdzie felczerzy lub lekarze bez specjalizacji.

Innego zdania był dr *Wacław Tracz*, ginekolog z przychodni rejonowej w Strykowie.

— *Uważam, że obecna dyrekcja, naczelny dyrektor ZOZ, Rafał Minich, ani z-ca dyr. Kraszewska, nie mają najmniejszych predyspozycji do pełnienie kierowniczych funkcji. To są ludzie, którzy nawet nie powinni być lekarzami, a cóż dopiero siedzieć na dyrektorskich stołkach. Miejmy jednak nadzieję, że już niedługo nastąpi koniec ich panowania...*

Jak dalece w owym czasie sugestie dr *Tracza* były popularne wśród załogi, trudno stwierdzić. Dr *Tracz* miał osobiste powody, by zwalczać dyrektora *Minicha*.

Wacława Batorowska, szef kadr w ZOZ:

— *Na polecenie dyrektora Minicha dałam wymówienie dr Traczowi, który samowolnie, od 10 do 24 grudnia 1979 roku przedłużył sobie urlop, był w USA i rzekomo nie mógł wrócić... Gdy wręczałam mu papier, wykrzyczał: „Mnie zwolnić?! Niedoczekanie! Może sobie pani tym świstkiem... Prędzej was wykończę!"*

Rzeczywiście niedługo wszystko anulowano. Triumfował.

Uczestniczyłem w zebraniu otwartym POP w Głownie, które odbyło się 17 października 1980 roku. Obecny na nim dyrektor Wydziału Zrowia, **Jan Matczak**, nie zapanował nad sytuacją. Zebranie przerodziło się w pyskówkę. Na następnym było jeszcze gorzej. Występowano z pretensjami przeciwko dyr. **Minichowi**. Nikt z przybyłych przedstawicieli władz, ani dyr. **J. Matczak, ani Zdzisława Torbińska z KŁ PZPR, nie starali się nic** wyjaśnić, dociec prawdy. Przy ich milczącej aprobacie atakowano dyrektora ZOZ, nie dając mu nawet możliwości obrony Wtedy rozżalony, przekonany o swojej słuszności człowiek, wyjął legitymację partyjną i oświadczył, że ją oddaje, gdyż nie może z tak nieuczciwymi ludźmi być w jednej partii. Poirytowany sytuacją dyr. Wydziału Zdrowia, J. Matczak, w obecności całej organizacji partyjnej i innych członków załogi, którzy przybyli na zebranie otwarte, wykrzyczał, że z dniem dzisiejszym, właśnie w tym momencie, odwołuje dyrektora ZOZ w Głownie. **Rafała Minicha**, który oddał przecież legitymację partyjną, nie jest już członkiem PZPR, nie może więc pełnić nadal tak wysokiej funkcji...

Czyżby zapomniał, że pozbawienie stanowiska dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej nie leży wcale w jego kompetencjach?

Wkrótce „naprawił" swój błąd. Po cichu, w obecności zaledwie kilku osób, przeprosił dr **Minicha** w jego gabinecie, stwierdzając, że uniósł się niepotrzebnie...

Rekompensata moralna była niewielka, nie mogła przywrócić poderwanego publicznie autorytetu u podwładnych, słabo zorientowanych w uprawnieniach poszczególnych władz, co zresztą szybko dało znać o sobie.

Dyr. *Minich* mówił później o tych trudnych dniach:

— *Zrobił się bałagan. Ludzie przyjęli postawę wyczekującą. Zmieni się dyrekcja, czy też nie? Z działu technicznego nikt nie pracował. Wszystko niszczało. Centralne ogrzewanie, nowa pralnia, były poważnie zagrożone... Osobiście mam żal do władz, że nie zajęły w porę właściwego stanowiska... Jeśli chodzi o moją sprawę, nie czuję się winny.*

Ślady łapówkarskiej afery, w którą chciano wrobić dyr. *Minicha* zaprowadziły mnie do nikąd, ale pediatra, dr *Taida Butkiewicz*, moja przewodniczka w tej materii, była niezmordowana: — *Ja panu udostępnię dowody, jest przecież wiele matek, których dzieci leczę... Coś znajdzie się. Na pewno!*

Żadne zarzuty przeciwko dyrekcji nie potwierdziły się. Nawet średni personel medyczny zarabia tu więcej, niż w łódzkich ZOZ. Ośrodki podległe ZOZ głowieńskiemu są w miarę możliwości dobrze wyposażone w sprzęt medyczny. Tylko że obecnie ich stan techniczny pozostawia wiele do życzenia Na tym właśnie tle powstał konflikt z nowym dyrektorem ekonomicznym, **Zenonem Rogackim**, który chciał doprowadzić placówki do porządku i w związku z tym zwiększył wymagania w stosunku do pracowników sekcji technicznej działu gospodarczego wymagając większej wydajności i dyscypliny pracy.

Konflikt ten bezpośrednio wpłynął na sytuację dr Minicha, któremu także zależało na usprawnieniu działalności ZOZ.

ŻALE I OPINIE

Dr *Kraszewska*, p.o. dyrektora ZOZ w Głownie:

— *Byłam wstrząśnięta wiadomością o odwołaniu dyr. Minicha, załamana. Nie mam pojęcia, co można było zarzucić dyrektorowi. Przecież on po prostu żył sprawami szpitala, ZOZ. Zrobił tyle dobrego dla miejscowej ludności. Zmodernizował szpital, który jeszcze kilka lat temu był typową prowincjonalną placówką, ubogą w sprzęt i zaniedbaną. Teraz jest sala pooperacyjna i intensywnej opieki kardiologicznej, z nowoczesnym wyposażeniem. Docierają do Głowna nawet nowinki światowej medycyny. To też dzięki dyr. Minichowi. Wielu lekarzy zaczęło interesować się fachową literaturą, także zagraniczną. Niejeden zawdzięcza szefowi podniesienie kwalifikacji zawodowych, zdobycie specjalizacji.*

— *Obawiam się, że praca, dorobek dr Minicha szybko pójdzie na marne. Wszystko na to, niestety, już wskazuje* — powiedziała dr *Kraszewska* na zakończenie rozmowy w dniu 15.IV.1981 r.

Przewodniczący Komisji Kontroli Partyjnej przy KM PZPR w Głownie, *Świderski:*

— *Od początku miałem bardzo dobre zdanie o doktorze Minichu. Osobiście mu współczuję, to naprawdę porządny człowiek i chyba doskonały specjalista. Nie potrafił jednak poradzić sobie z grupą ludzi małutkich, zakompleksionych, o wybujałych ambicjach. Mówiąc krótko, wpadł w bagno! Gdyby w porę poświęcił swego zastępcę do spraw ekonomicznych, byłby do dziś dyrektorem.*

Ja zwyczajnie mam tej sprawy po dziurki w nosie, ale muszę się liczyć z miejscowymi układami, żyję tutaj i pracuję. Czasami trzeba coś lub kogoś poświęcić, nawet spokój własnego sumienia.

Oczywiście, ta nasza rozmowa ma charakter wyłącznie prywatny, zaznaczam to panu, redaktorze, stanowczo!

Ponieważ nic takiego nie przyrzekałem panu przewodniczącemu, nie spotkałem się z nim prywatnie, mam chyba, mimo wszystko, prawo do opublikowania jego słów.

Wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej przy KŁ PZPR:

— *Jeszcze nie mamy wszystkich potrzebnych materiałów, nie możemy ustosunkować się do sprawy, zająć właściwego stanowiska. Decyzję o odwołaniu dr Minicha z funkcji dyrektora ZOZ uważam za pochopną, zbyt szybko podjętą!*

Zgadzam się, że takie środowisko małomiasteczkowe, jak głowieńskie, jest bardzo trudne, specyficzne, ciężkie do zniesienia dla ludzi z zewnątrz.

Prezydent m. Łodzi, *Józef Niewiadomski:*

— *Mam bardzo pozytywną opinię o doktorze Minichu jako o lekarzu i jako o człowieku. Taką miałem zresztą zawsze. I choć może zabrzmi to paradoksalnie, dla dobra całej sprawy, dla dobra tamtejszych mieszkańców, musiałem go odwołać. Gdyby była taka możliwość techniczna, poleciłbym raczej zwolnić wszystkich lekarzy będących w opozycji. Dr Minich nie miał warunków, aby tam być dyrektorem. Ci ludzie, zamiast pracować, myśleli o walce z dyrekcją. Jakie było wyjście? Tym bardziej, że z oficjalnym żądaniem odwołania zgodnie wystąpiły wszystkie organizacje społeczno-polityczne w ZOZ: POP, związki branżowe i „Solidarność"... Nie dopuszczę jednak, aby ogromna wiedza, doświadczenie i uczciwość dr Minicha nie zostały należycie wykorzystane. Obecnie jest ordynatorem w szpitalu głowieńskim, ale gdyby zechciał podjąć pracę w Łodzi, zawsze dla niego znajdzie się stanowisko zgodne z jego wysokimi kwalifikacjami.*

Opinie o pracy dr *Minicha* wojewódzkich władz służby zdrowia, z wyjątkiem dyr. *Matczaka*, który też nie potrafił sprecyzować swoich zarzutów, obwinił go jedynie o to, iż przestał był członkiem PZPR, są pozytywne.

— *Żadnych zastrzeżeń i uwag nie mam do dyrektora Minicha. To doskonały organizator i lekarz!* — powiedział dr *Cypko*, inspektor z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi. — *W trakcie szczegółowej kontroli nie dopatrzyłem się najmniejszych uchybień, wręcz przeciwnie. Jego osiągnięcia budzą szacunek i podziw. Dzięki niemu do Głowna dotarła medycyna z prawdziwego zdarzenia. Spory niepokój budzić może natomiast postawa niektórych tamtejszych lekarzy. A w przypadku przychodni rejonowej w Strykowie — znacznej części personelu. Jest to jedyna placówka, gdzie nieporządek rzuca się w oczy w momencie przekroczenia progu. Niechlujny i leniwy personel. Co myśleć o przełożonej pielęgniarek, noszącej poplamiony fartuch z kołnierzem, który na mój widok starała się podwinąć. Co myśleć o lekarzu, np. ginekologu Traczu, przyjmującym oficjalnie kilka pacjentek dziennie, mimo natłoku chorych? Fakt, iż wszystkie te kobiety są przez pana doktora załatwiane. Ale na jakich zasadach, o tym najlepiej powiedzą one same! Wystarczy posiedzieć w poczekalni, porozmawiać, posłuchać...*

Dr *Stefan Skowron*, kierownik lecznictwa i rehabilitacji w Wydziale Zdrowia:

— *Dyr. Minich był doskonałym szefem, w Głownie. Takiego dyrektora nie ma, ani mieć nie będzie żaden terenowy ZOZ. Postawił tamtejsze lecznictwo na wysokim poziomie. Stało się ono dostępne dla wszystkich. Ważną tu rolę odegrało prawidłowe funkcjonowanie przychodni, wiejskich ośrodków zdrowia, szpitala. Teren był bardzo zaniedbany, zdany prawie wyłącznie na praktyki prywatne, które za czasów pracy dr Minicha znacznie się ukróciły, co wzbudziło zrozumiałe niezadowolenie miejscowych medyków.*

Inspektor kadr przy Wydziale Zdrowia, pani *Kałużna*, również nie miała żadnych zastrzeżeń do byłego szefa ZOZ w Głownie.

Uparcie jednak szukałem konkretnych dowodów winy dr *Minicha*. I sekretarz KM PZPR w Głownie, *Jan Graszka*, nie chciał mi udostępnić protokółów Komisji Kontroli Partyjnej. Raz tłumaczył, że dokumenty są w kasie pancernej, a on nie ma przy sobie klucza. Innym razem twierdził, że są to sprawy tajne, a ja nie jestem dziennikarzem z prasy partyjnej...

W dniu 13.IV.1981 r. rozmawiałem telefonicznie z sekretarzem organizacyjnym KŁ PZPR — *Klemensem Kwiatkowskim*. Sekretarz obiecał zainteresować się osobiście sprawą, a także zobowiązać Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej do wnikliwego zbadania konfliktu w ZOZ. Stwierdził ponadto, iż protokóły kontroli partyjnej nie są dokumentami tajnymi, że I sekretarz KM w Głownie, *Jan Graszka*, miał bezwzględny obowiązek udostępnić je dziennikarzowi.

Spotkanie w ZOZ Głowno w dniu 15.4.81 było krótkie. Przewodnicząca zakładowej „Solidarności" ZOZ, *Elżbieta Kaźmierczak* i obecne z nią panie: *Andruszkiewicz* i przedstawicielka Ośrodka Opiekuna Społecznego, powiedziały, że rozmawiać nie będą i nikt ich do tego nie zmusi.

Na pytanie, co zarzucają dyr. *Minichowi*, bo do tej pory nikt nie potrafił przedstawić konkretnych zarzutów, usłyszałem jedynie:

— *Nie musi pan wiedzieć, co mu zarzucamy! To nasza wewnętrzna sprawa, nic prasie do tego!*

Pani *Andruszkiewicz* zacietrzewiła się bardzo. Wstała z krzesła i podniesionym głosem wykrzyczała mi prosto w twarz: — *Gdybym tylko mogła, udusiłabym pana i dyrektora Minicha osobiście, tymi oto rękoma.*

Zostało to wykrzyczane dobitnie. Dalsze spotkanie w tej atmosferze nie miało żadnego sensu. Chciałem jeszcze zadać pytanie przewodniczącej „Solidarności" w ZOZ Głowno, więc tego samego dnia zatelefonowałem do niej do szpitala.

— *Kilka miesięcy temu, w październiku, miała pani zupełnie inne zdanie, prosiła o anonimowość. Twierdziła, że dyrektor jest porządnym człowiekiem, dziwiła się swojemu szefowi, drowi Sobczyńskiemu, który kiedyś zajmował się wyłącznie sprawami oddziału, a ostatnio zmienił się. Stał się bardzo aktywny jako przewodniczący, agitował ludzi. Nawet poklepywał po ramieniu tych wszystkich nierobów z działu gospodarczego, mimo że do niedawna sam wytykał ich bumelanctwo.*

Odpowiedź była krótka, ale dobitna:

— *Tylko krowa nie zmienia poglądów! Zresztą, co mi pan może udowodnić?*

POSŁOWIE

Dyr. Rafał Minich został odwołany ze swego stanowiska dnia 20 marca 1981 roku. Zgodnie z treścią załącznika nr 13 do protokółu Porozumienia zawartego pomiędzy Komisją Rządową, a delegacją Pracowników Służby Zdrowia, zrzeszonych w NSZZ „Solidarność" (w dniu 16 listopada 1980 roku, w Gdańsku) punkt 2 mówi:

— *Stanowiska kierownicze w placówkach służby zdrowia podległych i nadzorowanych przez Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej, będą obsadzane na zasadzie konkursu...*

Jak dotąd Łódzki Wydział Zdrowia takiego konkursu nie ogłosił. Widać nie bardzo dyr. *J. Matczakowi* leży na sercu dobro ZOZ głowieńskiego. Taka jego postawa nie jest nowością. Dr *Minich* informował go dawno o działalności grupki miejscowych lekarzy, do dziś ma żal, że szef, najwyższa władza wojewódzkiej służby zdrowia, w porę nie zajął jednoznacznego stanowiska. Być może, że wtedy nie doszłoby nawet do konfliktu w ZOZ.

EDWARD BRYL

---

prądy i siły. „Wartości podstawowe", nie mogą być rozciągliwe jak guma do żucia, tym bardziej, że odwołują się do etyki chrześcijańskiej i socjalistycznej. Jakaż wartość może mieć dla Polaka tradycja, w której obok Jana Pawła II — Towarzysza Papieża — jak witali go przedstawiciele robotniczych związków — znaleźliby się ks. Stanisław Trzeciak, skrajny nacjonalista i wojujący antysemita, ugodzony obsesją odżydzania. Wyjaśnień autorów wymaga także idea „krzyża obok Orła" czyżby to próba ożywienia mitu „katolika — Polaka". Sądzę, że nie pomniejsza się zasług Kościoła katolickiego dla kultury narodowej, jeśli katolicyzmowi w Polsce przyznaje się wpływ, który da się wyrazić maksymą katolik i Polak bądź katolicki i polski. Tak wyrażony stosunek, tego co katolickie, z tym co polskie, odzwierciedla prawdziwiej historię i dzień dzisiejszy stosunków katolika — Polaka, uwalnia tradycję od zafałszowań i wieloznaczności.

Podobne stawiam pytanie odnoszące się do tradycji socjalistycznej myśli społecznej. Do których idei autorzy będą nawiązywać? Idei Gracchusa Babeufa, Henri Clauda Saint-Simona, Roberta Owena, Josefa Proudhona, E. Bernsteina czy do Marksa i Engelsa?

Ze zdziwieniem bliskim szoku kończę lekturę części V. „Życie związku". Chce się głośno krzyczeć! Panowie! Czyżbyście świadomie pragnęli przeciąć nić pamięci społecznej i uwolnić się tym sposobem od ciążącego brzemienia doświadczeń życia politycznego i ruchu zawodowego w Polsce, przypuszczając, że ruch „Solidarności" a priori wolny jest od zagrożeń i deformacji? Podjęcie wysiłków, by zapewnić w życiu związkowym demokrację i ustrzec się od molocha bonzów związkowych, koniunkturalistów i dworzan — oto — czego ma prawo oczekiwać od paromilionowego związku każdy robotnik i każdy człowiek pracy, niezależnie od swej aktualnej przynależności związkowej. Najszlachetniejsze pragnienia nie zapewnią pozycji, z której związek — jak to pięknie piszą autorzy Tez... — „by promieniował demokracją na życie publiczne w całym kraju".

Proklamowanie, że „wszyscy członkowie są sobie równi", że „władza w związku ma charaker służebny i przedstawicielski", że „życie związkowe opiera się na jawności" itd. itp., pozostaną pustym dźwiękiem, podobnie jak CRZZ, jeżeli nie rozstrzygnie się i nie zapewni instytucjonalnych gwarancji: zasad wyłaniania elit, zasad odwoływania i mechanizmów kontroli, zasad współdziałania z innymi organizacjami społecznymi i związkami zawodowymi; a te kwestie w tekście zostały właśnie pominięte.

Jeżeli z odrobinką sceptycyzmu można przyjąć zapewnienie, że „Solidarność" jest główną gwarancją procesu odnowy — jak czytamy w „Zakończeniu", że nie ma innej siły społecznej w Polsce, która by ją mogła zastąpić w tym dziele, to nie mogę uwierzyć w to, że „Solidarność" nie potrzebuje wspomnianych gwarancji instytucjonalnych w swym ruchu i dlatego w „Kierunkach..." ich nie uwzględniono.

Trudno dokument ten nazwać „głębokim wierceniem" problematyki, a wszystkim ekscytującym się pierwszeństwem programu, dedykuję wybraną z „Myśli nieuczesanych" maksymę S.J. Leca „Nie każda palma pierwszeństwa rodzi kokosy".

PS.

Po przedstawieniu maszynopisu jednemu z przyjaciół — zawsze krytycznemu — spotkałem się z uwagą, że zbyt mocno podnoszę — jego zdaniem — problem eklektyzmu w tezach programowych... Aby uzasadnić intencję uwagi, zilustrował ją przykładem Woltera — ten największy ateista — kontynuował — wychowywany był przez wielką kurtyzanę (którą kochały trzy pokolenia) — Ninon de Lenclos, przez księdza i wielkiego libertyna — de Chateauneuv oraz jezuitów. Ze swej strony zauważyłem, że autorzy Tez programowych nie liczą chyba na podobny mechanizm następstw...

A. W.

WYGASŁE OGNISKA

2

Dalszy ciąg ze str. 1

Na deskach pomostu śladów także już nie ma. A przecież... Mówi *Wiesława Kwiatkowska* z gdańskiego MKZ: — *Byłam tu około dziewiątej. Stąpałam w kałużach krwi...*

Tylko gdzieś między deskami uschnięty bukiecik.

Ilu, ilu ich zginęło? Oficjalnie: osiemnastu, w całej Gdyni. Czas korygował tę liczbę. W ogłoszonej nazajutrz po tragedii ulotce gdyńscy stoczniowcy napisali: *„Prasa podaje, że zabitych jest 21 osób, lecz pomyliła się co najmniej o zero". — Sądzimy, że przynajmniej dziesięć razy tyle, ile głosił komunikat. Ale nie potrafimy tego udowodnić* — mówi w 10 lat po masakrze *Wiesława Kwiatkowska* (która w Ośrodku Prac Społeczno-Zawodowych gdańskiego MKZ bada sprawy Grudnia).

Czy coś jednak można postawić naprzeciw ówczesnym zapewnieniom władz, że osiemnaście to jest *„ścisła i ostateczna lista"*, a *„wszystkie inne informacje są nieprawdziwe, bezpodstawne"*? Z pewnością nie przypuszczenia, jakich wiele narosło na przykład wokół numerów (niepokojąco wysokich: *Zygmunt Gliniecki* — 428, *Zygmunt Polito* — 432), które widniały przy ciałach, nieraz obok literek: NN... A wyznania świadków?

Stanisław Smrekowski był wtedy kierowcą po drugiej stronie pancernego kordonu, który od środy narastał na skrzyżowaniu ulic wiodących do stoczni i portu: Marchlewskiego, Czechosłowackiej i Polskiej. *„Jako żołnierze* — opowiedział na konferencji prasowej po odsłonięciu w tym miejscu pomnika — *żeśmy wozili starami 66 na zmianę po 5 osób, 5 samochodów, dzień w dzień, średnio 14 do 20 osób woziło przykrytych albo kocami, względnie prześcieradłami do Oliwy, do prosektorium szpitala Marynarki Wojennej, względnie bezpośrednio na cmentarz. Tam tylko widzieliśmy, że wkładano ich do wspólnych rowów takich. Z tym, że nie wszystkich i nie mogę zlokalizować tego w tej chwili. W sumie w ciągu trzech dni ja i koledzy, z którymi rozmawialiśmy, ja osobiście przewiozłem około dwudziestu kilku, dokładnie nie pamiętam w tej chwili, to było 24—25 osób..."*

Mniej więcej dokładnie opisany został tylko przebieg wydarzeń w przeddzień tragedii. Istotny jest zwłaszcza okres od momentu nadejścia do stoczni telefonogramu ze Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego o zawieszeniu pracy aż do odwołania. Wg. reporterki *Barbary Seidler* (*„Życie Literackie"* nr 8 z 1971) przyszedł on o godz. 17.30, wg. kalendarium *„Głosu Wybrzeża"* — o godz. 20, wg wicepremiera *S. Kociołka* — *„w późnych godzinach wieczornych"*. Decyzja ta, którą wyprzedziło obsadzenie stoczni oraz portu przez wojsko i MO, została podjęta — jak napisał później gdański dziennik PZPR — *„ze względu na bezpieczeństwo kluczowych obiektów gospodarczych i administracyjnych". „Uczyniono tak, gdyż zakłócenia, które wystąpiły w środę, zapowiadały niszczenie majątku narodowego, dewastację i podpalanie"*... Autor (czy inspiratorzy?) tych zdań „zapomniał" jednak, że tego samego dnia — w środę 16 grudnia — dyrekcje wspomnianych zakładów nawoływały do nie opuszczania ich terenów, ochrony przed ewentualnym sabotażem. Gdyński strajk — jak wspomina jeden z uczestników p. *Monasterski* — był *„w dużym porządku zorganizowany"*. Tak samo pochód spod Rady Narodowej do zakładów pracy we wtorek, 15 grudnia. Następnego dnia popołudniu — w czasie wieców — przywódcy zakładowych komitetów strajkowych poparli zresztą dyrekcje w swych wystąpieniach. W Gdyni nie było grabieży, podpaleń sklepów, ludzie — pomni wcześniejszych gdańskich doświadczeń — napominali się wręcz w czasie pochodów, by *„nie deptać trawników"*. Wielu twierdzi, że nie wybita została tu nawet jedna szyba.

Czy w takim razie decyzja o zawieszeniu pracy — *„na skutek* — jak określił później S. Kociołek — *ścisłych informacji o zagrożeniu majątku w Stoczni, łącznie ze statkami stojącymi przy nabrzeżach"* była do końca uzasadniona? I tego nigdy naprawdę nie wyjaśniono. Podobnie jak innych sprzeczności. Raport powołanej po grudniu komisji rządowej dotąd się nie ukazał.

Z jedynego reportażu, jaki ogłoszono po wypadkach *(B. Seidler w „ŻL")* — można sądzić: dobrze udokumentowanego — wynika, że chociaż dyrekcja i aktyw stoczni zwrócili się do Sztabu z prośbą, aby w radio i telewizji ogłosić kilka razy, że pracę wstrzymano do odwołania, ten nie zezwolił na to. Czy dlatego, że musiano by je nadać po wystąpieniu wicepremiera? Akcja zawiadamiania w hotelach robotniczych i osiedlach zamieszkałych przez stoczniowców przyniosła tylko częściowe efekty. Większość ludzi postanowiła jednak zastosować się do apelu *S. Kociołka*.

Wiadomo także, że tylko przedsiębiorstwo komunikacyjne (WPKGG) odpowiedziało na prośbę dyrekcji stoczni o wstrzymaniu dojazdów: autobusy i trolejbusy pozostały w zajezdniach. Dlaczego natomiast PKP nie zgodziła się na wstrzymanie dojazdu do stacji Gdynia-Stocznia kolejki elektrycznej (uczyniono to dopiero po masakrze, o 6.45, gdy zaś w cztery godziny potem wagony znowu ruszyły, nie zatrzymywały się już w Gdyni-Stoczni)? Wobec braku wyjaśnień nie sposób wykluczyć różnych podejrzeń.

Jak pogodzić z tymi — połowicznymi jednak przecież — działaniami zapobiegawczymi zapewnienie *S. Kociołka*, który na naradzie gdańskiego aktywu partyjnego 8 stycznia 1971 roku powiedział m. in. (cytuję za *„Głosem Wybrzeża"* z 9—10.01.71):

„Władze gospodarcze, które późnym wieczorem we środę, (a więc nie o 17.30 ani 20? — mimowiednie nasuwa się hipoteza, że wicepremier mógł wtedy — przemawiając w telewizji — nie wiedzieć o tej decyzji, nie można tego wykluczyć wobec faktu istnienia paru ośrodków dyspozycyjnych i przypuszczeń, iż *S. Kociołek* nie skonsultował swego wystąpienia z sekretarzem KC PZPR *Zenonem Kliszko* — przyp. T. S.) *podjęły decyzję o czasowym zamknięciu prac w gdyńskiej stoczni (...) uczyniły wszystko przy pomocy służb kolejowych, porządkowych i wojska, przy pomocy środków technicznych, przy pomocy bezpośredniego dotarcia do miejsc zamieszkania, by o tym zamknięciu uprzedzić ludzi śpieszących do pracy i wzywanych do tego. Powtarzam — podjęto cały możliwy w tej dziedzinie wysiłek w miejscu zamieszkania i potem jeszcze rano na podejściach do stoczni..."*

Tak, to ostatnie zdanie jest prawdziwe. Tylko, że byłoby zbędne, gdyby jeszcze poprzedniego wieczora skorzystano z ogromnych możliwości radia, telewizji i anulowano apel wicepremiera, a ostatecznie już zatrzymano kolejkę.

Dlaczego tego nie zrobiono? I jak długo aktywny działacz polityczny ma istnieć w ludzkiej pamięci jako ten, który — choćby nieświadomie — wysłał ojców i synów na śmierć?

* * *

Wiadomo też, że sygnałem do rozpoczęcia salwy miał być wystrzał działa czołgu, *Stanisław Smrekowski* opowiada, że zgodnie z rozkazem wystrzał planowano na 5.25. *„I to działo armatnie* — mówi — *miało służyć jako polecenie, żeby nie było rozkazu słownego, ustnego — tylko w pewnym stopniu polecenie do użycia broni w stosunku do ludzi nadchodzących. I wtedy wszyscy są kryci, nie ma takiego, który wydał rozkaz"*.

Wystrzał padł, ale dopiero około 5.55. Był to ślepy pocisk. Tak twierdzą świadkowie i tak też napisał w grudniu ub. roku w gdańskim tygodniku „Czas" Tadeusz Woźniak.

Jaka jest prawda o początku masakry? Na ile nie kłamie taśma, którą ktoś wtedy nagrał? Wynika z niej, że potężny, głuchy odgłos — prawdopodobnie huk czołgowego działa — poprzedziły strzały. Kiedy przerwały one dobiegające z megafonu i peronowych głośników ochrypłe wezwania do powrotu do domu, do rozejścia się. Czy to z kordonu pierwsi strzelali? Czy *„prowokatorzy"* z tłumu, którzy *„użyli broni"* (jak napisano następnego dnia w *„Głosie Wybrzeża"*)? A może wystarczyło czyjeś głośne „hurra", rzucony w stronę milicji kamień?

Pewne jest tylko, że pancerny kordon nie wytrzymał naporu *„kilkutysięcznego"*, a według innych relacji *„kilkunastotysięcznego"* tłumu....

W chwili śmierci jednej z pierwszych ofiar: owej kobiety *„z brzuchem"*, *„w zaawansowanej ciąży"*, na peron wjechały dwie — zmierzające z przeciwnych kierunków: Gdańska i Wejherowa — kolejki. Jeszcze w drodze towarzyszyły im śmigłowce. Teraz posypały się z nich petardy i strzały. Ludzi uciekających w poprzek torów atakowali prawdopodobnie strzelcy wyborowi. Próbowali kryć się w podziemnym przejściu od ul. Czerwonych Kosynierów i za nasypem. Na schodach i ścianach zbiegających do tunelu nie ma już dziś śladów kul, wymieniono płyty.

W jednym z wagonów kolejki z Wejherowa jechał *Józef Pawłowski*. Miał 24 lata, od roku pracował w Stoczni im. Komuny Paryskiej jako elektryk (— *W pracy wszyscy go żałowali* — powie matka — *bo dobrym był brygadzistą*).

Przyjechał spod Trzcianki, niedaleko Piły, gdzie jego rodzice — repatrianci zza Buga (z transportu w 1956) — mieli gospodarkę. Na roli, koło Kalisza, pracował również drugi, młodszy syn *Pawłowskich*, a *Józef* skończył „zawodówkę" i poszedł do roboty. Dwa lata pracował w Trzciance, dwa następne spędził w wojsku (rok w Łodzi). W 1969 znalazł się w stoczni. Potrzebowali tu fachowców, a jeszcze bardziej niewykwalifikowanych do pomocy. W tamtych latach stocznie prowadziły gospodarkę ekstensywną, ich rozwój próbowano oprzeć na ciągłym zwiększaniu zatrudnienia. Dopiero za Gierka doceniono właściwie ich rentowność: ruszyły modernizacje, inwestycje.

Tego grudniowego ranka *Józef Pawłowski* jechał z trzema współlokatorami służbowej kwatery w Rumii. Na przystanku wysiedli wszyscy, ale z powrotem zdążyło wskoczyć trzech.

Widzieli jeszcze, jak upadł koło wagonu.

— *Później ludzie mówili* — przypomina sobie matka — *że helikopter puścił gaz łzawiący. Wtenczas uciekali i strzały były. W strachu każdy uciekał gdzie mógł. Skąd strzelali? nie wiem, nie byłam przy tym. Opowiadali koledzy...*

Nie dane było matce być przy nim w chwili śmierci, ani pogrzebu. Jej wiedza jakże jest niepełna! W czasie rozmowy odnoszę dojmujące wrażenie — na ile prawdziwe? — jakby nie próbowała nawet poznać prawdy, nie chciała zgłębiać szczegółów... Ale właściwie cóż tu więcej rozumieć? Co jeszcze dodawać? Czy to cokolwiek zmieni? Czy wróci jej syna?

Stara kobieta w czerni patrzy na mnie, jak gdyby w mych oczach szukała potwierdzenia i zrozumienia swojej matczynej racji, swej niechęci do zwierzeń, prawa do milczenia. Ze wszystkich czterech płaczek na płycie pomnika przypomina tę najcichszą, stojącą z opuszczonymi bezradnie rękami, jakby pogodzoną z losem...

— *To była niespodzianka, tylko telegram dostaliśmy, więcej nic...* — mówi i wzdycha głęboko — *On bardzo dobry był, wszystkich żałował. Religijny, dobrze, że krzyż ma na pomniku. Ale trudno... Trzeba pogodzić się.*

Nawet gdy opowiada, nie ma w jej słowach emocji. Inaczej, niż u tamtych trzech. Mówi powoli, wspomnienia nie ożywiają jej; nasz cichy dialog wytłumiają długie chwile milczenia i deszcz, który nagle rozszalał się za oknem.

Tylko w tym domu — spośród czterech wygasłych ognisk — nie widać nigdzie JEGO portretu. Nieśmiało pytam o zdjęcie.

— *Gdzieś jest...* — słyszę — *Ale ja już jakoś nie chcę patrzeć... Pochowałam go, nie chcę widzieć.*

Opuszczając dom *Józek* planował, że gdy dostanie mieszkanie w Gdyni, sprowadzi rodziców. Właśnie on, a nie młodszy brat, czy dwie siostry, z których starsza — *Antonina* ma dzisiaj tyle lat, co on, gdy zginął. Ale rok pracy w stoczni — to było jeszcze za krótko, by myśleć o własnym mieszkaniu. Ile lat musiałby czekać, ile czekaliby rodzice? Znając kłopoty mieszkaniowe Trójmiasta — długo, bardzo długo.

Nagła śmierć urzeczywistniła jego obietnicę... W dwa lata później — po długich staraniach — *Pawłowscy* dostali trzypokojowe mieszkanie na „Osiedlu Młodych" w Gdańsku-Oliwie.

Już w marcu 1971 roku można było go zabrać do Dzierżązna, pod Trzciankę. Ale oni złożyli podanie, że chcą żyć przy synu... — *On nam przecież obiecał mieszkanie* — mówi matka. — *Czekałam tylko jak skończę 60 lat. W 1977 zdałam gospodarkę, dostałam rentę i przyjechałam tutaj. Wcześniej mąż tu już pomieszkiwał z drugą młodszą córką — Łucją.*

I tak *Józek* spełnił swoje słowo, zza grobu...

OPOWIEŚĆ CZWARTA

Wsłuchując się w nagranie, nie spojrzałem na zegarek. Jak długo trwał ten zmasowany ogień pistoletów maszynowych? Pięć, dziesięć minut? Tyle chyba zarejestrował magnetofon, a ile strzelano naprawdę? W pewnej chwili kanonada cichnie, rozlega się syrena, milkną wysokie rozpaczliwe sygnały elektrycznych kolejek. Teraz strzały pojedyncze i krótkie serie schodzą na drugi plan, w tło. Na powierzchnię nagrania wypełzają odgłosy hamowania aut i pojedyncze okrzyki (*„Trzymajcie go!"*, *„Dawaj go z powrotem!"* i wiele niewyraźnych).

Po pierwszej salwie część tłumu sformowała pochód. Śpiewa w marszu hymn. Tak śpiewanego hymnu nie słyszałem nigdy. Okrzyki, śpiew, powtarzają się w drodze do Prezydium.

Bo tam właśnie przede wszystkim szły tego dnia pochody. Po drodze rozbijała je milicja. Ludzie wracali i znów formowali pochód, ruszali w kierunku alei Czołgistów. I tak miotali się, zaszokowani, między Radą a stocznią. Chcieli zapytać przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej *Jana Mariańskiego* o przyczynę zdrady. Na czele kilku pochodów niesiono ciała zabitych. W jednym z nich koledzy szli ze zwłokami młodego chłopca, położonymi na drzwiach, ze skrwawioną flagą na przodzie. To jemu właśnie — anonimowej ofiarze masakry — poświęcono najbardziej znaną grudniową piosenkę — *„Balladę o Janku Wiśniewskim"*...

Część ludzi jednak dalej toczyła nierówną walkę przy pomoście. Jeszcze inni — ci którzy kilka godzin wcześniej żegnali matki, córki, ojców i synów wychodzących do pracy, na wieść o strzałach, lecz nie mogąc dać im wiary, nadciągali w rejon Gdyni-Stoczni. Tu przekonywali się na własne oczy. Z drugiej strony torów, z mostu padały wezwania do rozejścia się i strzały. Nadlatywały śmigłowce, ciskano w nich petardami...

Ludzie szli pod te petardy, pod strzały, by odnaleźć bliskich. By potwierdzić złe przeczucia, zaprzeczyć pogłoskom. Innych — dzieci zwłaszcza — popychała ciekawość. Czy to ona sprawiła, że w pobliżu przystanku znalazł się *Zygmuś*?

Tak przynajmniej przypuszcza jego matka.

* * *

Pani *Helena Gliniecka* to zupełne przeciwieństwo *Pawłowskiej*. Postawna, tęga, opowiada chętnie, dramatycznie, z detalami i kociewskim, gwarowym nalotem (nie do odtworzenia z notatek), ożywiając się pod wpływem złych wspomnień. Jest jedyną kobietą z reliefu, która przyjęła mnie bez większych oporów.

— *Po co pisać?* — spytała tylko — *Memu synowi i tak to życia nie wróci...*

Odpowiedziałem zdaniem, którego w całości nie pamiętam. Ale było w nim coś o konieczności zachowania dla historii.

Zaraz też znalazłem się w jej środku, w środku tamtych zdarzeń. — *Człowiek się przyzwyczaił i tak tą myślą żyje. Bo gdybyśmy mieli jeszcze jednego chłopca...* — i tak zaczęła swą opowieść *Helena Gliniecka*. Nie musiałem pytać.

— *Na pierwszym peronie od Czerwonych Kosynierów, od nas. Tam on zginął. Na końcu tego peronu...*

Jeszcze tego ranka — przed pójściem do szkoły na ósmą — przyniósł chleb.

— *...i widzę go jak ducha. Stoi w tych drzwiach.* A ta — matka pokazuje otwarty pokój po drugiej stronie korytarza, gdzie leżąc na łóżku czyta książkę 15-letnia *Ania*, siostra *Zygmunta — miała wtedy 5 lat. I jeszcze słyszę, jak mówi do niej: „Siwku mój"* — *zawsze była blondasek, tak ją nazywał w żartach. A za chwilę: „No, Mamo, ja już pójdę, zostańcie z Bogiem"...*

— *Gdybym pomyślała, że on pójdzie tam, a nie do szkoły, to bym go uwiązała. Już przed dziewiątą prowdopodobnie nie żył. Tam ta jego śmierć stojała. Tego się nie unika.*

Poszli w trzech. Torby zostawili w piwnicy. Z nasypu zeszli na skraj peronu. Widać stąd było wojsko, milicję, transportery, czołgi. *Zygmunt* musiał za bardzo oddalić się, gdyż nagle jeden z tych, którzy zostali w tyle, zawołał:

— *Zyguś uciekaj, bo oni strzelają!*

Odwrócił się.

— *Janusz, przecież oni nic nie mogą mi zrobić! Ja im nic nie zrobiłem...* — zdążył odpowiedzieć i w tej samej chwili upadł. Kula poszła przez lewe ramię nad łokciem — prosto do serca.

Kawałkiem jego koszuli próbowali zatamować krew...

Matka zamyśla się: *Wie pan, on chyba przeczuł, że zginie. Pamiętam: było to w niedzielę, siedział na kanapie, zapytał: „Jak ja bym umarł, co by mama zrobiła?" „Tylko mamie i tacie krzywdę zrobisz"* — *odpowiedziałam.*

W ostatnich dniach przed śmiercią zachowywał się dziwnie. Przyszłam z pracy: Gdzie synek? A on zamknął się w pokoju i leży, odwrócony plecami do drzwi, smutny. Nic ten dzieciak nie mówił, nic, ale przeczuwał...

...Kiedyś spytał mnie: „Mamo, a jak milicja goni, to ja mam uciekać?" — *„Dlaczego masz uciekać, synku?"* — *zdziwiłam się. I* — *widzi pan* — *ja go źle uczyłam. ...Tamci koledzy uciekali, bo wiedzieli, że naprawdę strzelają. Gdybym go uczyła inaczej, może żyłby chłopak.*

Na ścianie duża, mocno wyretuszowana fotografia.

— *Troszkę te włosy miał do góry więcej podczesane* — poprawia matka —*ale reszta taka. Kiedy pokazali mi to, pomyślałam: Matko Boska, jakby żywy był...*

Obok — na ścianie — portrety starszej córki, papieża, Matki Boskiej, za róg ramki zatknięte zdjęcie z gdyńskiego pomnika: siódemka jak upadający człowiek.

...Żeby on jakimi chuliganem był — ciągnie *Gliniecka*, nie spuszczając oczu z portretu — *Ale ten chłopiec nie powiedział nikomu marnego słowa. On był spokojny chłopak. Najchętniej siedział w domu. „Dobranocka" w telewizji, a on już w domu był... Chorował dosyć, potem słabiej się uczył, przesiedział rok.* — Kobieta podpiera głowę dłonią, prawie szepcze — *W kwietniu miałby szesnaście lat... Nic nie pomoże, nic. Ja nie mogę sobie darować, że Polak Polaka zabił...*

Tamte dni były dla niej wstrząsem, ale pamięta dokładnie wiele szczegółów. Drobiazgowo, godzina po godzinie opowiada o szukaniu chłopca.

— *Córka starsza przyszła od stoczni, pyta: Zyguś jest? A ja, że w szkole. Na to ona: niech mama leci, sprawdzi...*

Poleciałam. W szkole powiedzieli: nie ma go. Para ich nie ma. Poszłam więc aż pod Szkołę Morską. Tam mi kobie-

Gdynia, 17 grudnia 1970 roku, południe. Widok na ul. Władysława IV. Na pierwszym planie zatrzymane pociągi elektryczne. Na drugim planie wycofujący się tłum, obrzucany petardami.
Foto CAF — Uklejewski

ty rzekły: dalej nie idź, bo strzelają. Panie, ja musiałam być wtedy parę metrów od niego! — nie może sobie darować, że usłuchała tamtych.

Noc była straszna... *Gdyby pan to widział. Całą noc jeździły czołgi. Przestaliśmy ją żmężem przy oknie. Z dołu, spod TOS świecili latarkami po oknach. Podchodzili nawet pod drzwi mieszkań, podkładali ogień, jakby napuszczone. Myśmy naprawdę przeżyli w Gdyni. Kto tu nie był, nie będzie wiedział.*

W czwartek dzwonili, szukali po szpitalach. Nie znaleźli go ani w Gdyni, ani w Redłowie, w piątek pojechali więc do Gdańska. Do sądu nie wpuszczali bez zezwoleń. W końcu uprosiła: wpuścili. Czekali godzinę, dwie. Dopadła prokuratora: — *Ja chcę wiedzieć, gdzie mój syn jest! On jest zabity, to wiem, ale gdzie jest?*" — Powiedziano jej: może w Akademii.

W korytarzu szpitala Akademii Medycznej usiadła zmęczona na ławce. Pytają ją po czym go poznać. Trudno było. Nie miał przy sobie nic, nawet zegarka. Poszedł przecież bez torby.

Niedaleko stała kozetka, przykryta popierem. Obok tabliczka z numerem 428 i literkami NN.

— *Siedziałam i patrzyłam wciąż na ten numer, tak jakby mnie przyciągał, jakby magnes tam był...*

...Nie potrzebowali nawet odkrywać. Ja go już po czubku włosów poznałam...

— *W sobotę wieczorem siedzieliśmy w domu Nagle pies zaczyna szczekać. Mówię do męża: Bądź cicho, Zygmuś... W te słowa dzwonek do drzwi. Stoi dwóch: — „Czy tu mieszka Zygmunt Gliniecki?" — pytają — „Chyba mieszkał..." — odpowiedziałam im.*

Byli z MRN, z zawiadomieniem, że dziś o dwudziestej syn będzie chowany, w Oliwie. Nie miał to być jedyny pogrzeb, bo z polecenia gdyńskiego sztabu wszystkie pogrzeby ofiar *„czarnego czwartku"* odbyły się tej samej nocy... Śpieszono się.

— *Gdy Gierek przemawiał ja swego syna chowałam* — cichutko kończy *Glniecka.* — *Tylko w tym wszystkim zapomniałam, że butów nie ma. No i pochowaliśmy w skarpetkach....*

Po dwóch miesiącach matka „wychodziła" zgodę na ekshumację. 20 lutego, o piątej nad ranem — przenieśli go na chyloński cmentarz. Ich leży tu dwóch: *Zygmuś i Janusz Żebrowski.*

— *Tu mam blisko, parę kroków, kiedy chcę — idę do niego ...Przejdę przez ulicę, a dalej* — kobieta podchodzi do okna, odsuwa firankę, pokazuje na domy i las na górce za nimi, który zamyka horyzont.

— *Nie jestem mściwa* — dopowiada stojąc — *Jestem katoliczką. Wybaczyłam im dawno, ale zapomnieć? O, nie... Te skrwawione rzeczy w piwnicy chowam. Chciałam je wyprać, nie mogłam. Poszedł wyprać mąż... Tak się to mówi, że się zapomina. O, nie, jak go widzę, jakby on tu pomiędzy nami chodził...*

— *Co można zrobić? Nikt nie udowodni, kto zabił. Ludzie chcieliby dla nich kary śmierci... A ja pytam: z jakiej racji? Mają mnie przeklinać, tak, jak ja ich?*

Dziecko i tak już nie wstanie... I żeby tylko jego śmierć, śmierć tych dzieci nie poszła na marne!

— *Przecież nie poszła, proszę pani. A Sierpień?*

Spełnią się słowa ballady...

„Chłopcy z Chyloni,
chłopcy z Chyloni,
Dzisiaj milicja użyła
broni.
Chłopcy — stoczniowcy,
pomścijcie druha,
Janek Wiśniewski
padł..."

TOMASZ SOLDENHOFF

Gdańsk, marzec —
Łódź, maj 1981

PS. Do pierwszej części reportażu zakradły się dwa błędy. Prostuję je: kaszubski obóz na Osieku nazywali Niemcy „Hakelwerk", a nie „Halzelczuk", jak wydrukowano. Osiedle, na którym mieszka córka Aleksandry Sypki, nosi nazwę „Suchanino", a nie „Suchomino".

T. S.

przyczyny naszych kryzysów [2]

Dalszy ciąg ze str. 1

Józef Chałasiński — mieli skłonności biurokratyczne. Pisał on w 1946 roku: **„Papierowa formalistyka to rodzaj społeczno-towarzyskiego rytuału, który ma odgradzać biurokratę od plebsu, to rytuał wymagający znawstwa".** W ten sposób były szlachcic dodawał sobie powagi i wielkopańskiego znaczenia.

W czasie I wojny światowej **Artur Górski** opublikował studium z pytaniem w tytule: **„Ku czemu Polska szła?"** I dał w nim odpowiedź, że **„ku szlacheckości".** Szlacheckość uznał on za istotę naszego demokratycznego ustroju i polskiego charakteru narodowego. jest w tym pewna racja, chociaż trudno się zgodzić z ogólną wymową utworu **Górskiego** — totalną pochwałą tej szlacheckości.

Jakie są zatem podstawowe cechy naszego charakteru narodowego? Neurolog **E. Brzezicki** napisał w 1945 roku, że wśród Polaków występuje głównie typ osobowości, który nazwał „skirotymik" — od greckiego: skakać, kołysać. Ludzi tego rodzaju charakteryzują: słomiany zapał i nieregularnie wahające się nastroje. Podobną opinię wyraził o nas 30 lat później **Kazimierz Dąbrowski.**

Nasza osobowość narodowa jest wewnętrznie sprzeczna, dwoista. **Juliusz Słowacki** był zdania, że mamy wprawdzie **„duszę anielską"**, ale niestety uwięzioną w **„czerepie rubasznym". Adam Mickiewicz** sugerował, że naród nasz jest **„jak lawa"** tylko na wierzchu **„zimna i twarda, sucha i plugawa"**, ale **„wnętrze jest gorące.** Wołał więc przez usta Piotra Wysockiego: **„Piwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi".** Z kolei **Cyprian Norwid** pisał, **że jesteśmy** — z jednej strony — pierwszym na świecie narodem („wielkim sztandarem narodowym"), a z drugiej — ostatnim na Ziemi społeczeństwem. Potrafimy być, jego zdaniem, wielcy w **„chwilach wielkich"** i równocześnie w **„służbach codziennych zaniedbani".**

Wielu naszych rodaków, w różnych okresach historycznych, narzekało, że jesteśmy leniwi, mało wytrwali i nie zdolni działać na dłuższy dystans. Już **Maciej Kazimierz Sarbiewski** (i poł. XVII wieku) pisał: **„Lepsi jesteśmy w pierwszym zapędzie, niż w stałym dążeniu. Wiele rzeczy natura u nas rozpoczyna, lecz niewiele tylko doprowadza do końca".**

Podobnie **Józef Wybicki** ubolewał, że Polak jest **„tak prędki w przyjęciu, jak w porzuceniu wszelkiego projektu".** I na tę samą cechę wskazywał **Maurycy Mochnacki. Stanisław Ignacy Witkiewicz** zwracał uwagę w latach trzydziestych, że w naszym kraju **„wytworzyło się tzw. «odwalanie zajęć» na «olaboga» czy «na łeb na szyję» lub «na dżibol pajs» i przeżywanie reszty w atmosferze tymczasowości, w oczekiwaniu jakichś szczęśliwych zbiegów okoliczności, które wszystko w najlepsze zmienić mogą".**

W literaturze spotykamy podkreślanie takich naszych wad, jak: brak porządku, niezdyscyplinowanie i nieobowiązkowość.

Według niektórych autorów jesteśmy gadatliwi — więcej mówimy niż czynimy. A działamy często na pokaz — lubimy dobrze zaprezentować się obcym obserwatorom. Pragniemy, aby inni nas chwalili jako naród.

W świetle wielu opinii lubimy świętować, obżerać się i upijać. Wytykali rodakom te wady już w XVI wieku **Mikołaj Rej** i **Marcin Kromer;** dziwił się również temu nuncjusz papieski **Juliusz Ruggieri.** Na początku XIX wieku **Aleksander Orłowski** malował typy sarmackie naszej szlachty. Ciekawa ich charakterystykę dał malarz i zarazem lekarz **Wincenty Smokowski: „... wypasłe potwory z wypukłymi i czerwonymi policzkami, z ogromnymi rubinowymi nosami, na których porastają sine grzyby od pijaństwa, karki fałdziste jak u zwierząt, brzuchy jak beczki wydęte...".** W 1979 roku wydaliśmy na alkohol aż niewiarygodną kwotę 177,1 mld zł (5023 zł na 1 mieszkańca)...

W naszym kraju niełatwo mówić o wadach narodowych. Albowiem natychmiast spotykamy się z gwałtowną reakcją tych, którzy uważają to za szarganie świętości. Moim zdaniem trzeba jednak w pełni uświadomić sobie własne słabości, gdyż za często szukamy winy na zewnątrz i uważamy się za pokrzywdzonych przez los. **Melchior Wańkowicz** powiadał, że to różnego rodzaju „kundle" sprzeciwiają się samokrytyce narodowej, traktując ją jako niepatriotyczną.

Filozofowie i moraliści buddyjscy głoszą, że „należyte dążenie" człowieka polega na tym, żeby rozwijać w sobie dobre cechy i uczucia, a tłumić złe. Myślę, że naród polski powinien właśnie tak czynić. Nie mamy przecież samych wad, lecz również niezwykle cenne zalety. **Obcokrajowcy szczególnie podkreślają naszą inteligencję i wyobraźnię, a także gościnność.**

Omówione tu przyczyny historyczne — tradycja narodowa i charakter narodowy — mają rzecz prosta zupełnie inną naturę, aniżeli umieszczone na pierwszym miejscu przyczyny systemowe (doktrynalne i polityczne). **Tradycja minionych pokoleń** — jak powiadał **Marks — „ciąży jak zmora na umysłach żyjących".** Dużo łatwiej więc zreformować system i podejmujemy już takie kroki. Natomiast wychowanie narodu jest sprawą na miarę kilku pokoleń. **Społeczeństwa Zachodu nie zawsze były takie pracowite, zorganizowane i wydajne jak dziś.** Kształtowały się — o czym nie można zapomnieć — w piekle akumulacji pierwotnej, trwającej przez wieki XVI, XVII i XVIII. Był to czas brutalnego wyzysku własnej klasy robotniczej oraz ludności kolonialnej. Ale w jaki sposób wychować naród polski? Odpowiedź na to pytanie, wciąż aktalną, dał w 1970 r. **Jan Szczepański: „Naród wychowuje przede wszystkim sprawnie działająca gospodarka, administracja państwowa, instytucje regulujące życie publiczne; jeżeli one nie realizują postulatów idei, wtedy idee nigdy nie staną się siłą materialną. Stąd uwaga Polaków zwrócona jest na organizację gospodarki i układy instytucji".**

Jak widać, w rozważaniach tych wróciłem do punktu wyjścia: najpierw trzeba dokonać zmian systemowych. Nie jest to jednak sprawa prosta. Wymaga bowiem nie tylko opracowania słusznej koncepcji reform (w tym sposobów wdrożenia), ale ponadto wymiany kadr, gdyż dotychczasowi ludzie mają raczej złe nawyki i wątpliwe czy potrafią działać nowymi metodami. A poza tym należy zdobyć masowe poparcie społeczeństwa. Ktoś wiarygodny musi je przekonać, że reformy naprawdę warto przeprowadzić.

Jest mało prawdopodobne, żeby radykalne przekształcenie utroju polityczno-ekonomicznego, a takie właśnie są pożądane, można było zrealizować samymi metodami perswazji; tym bardziej, że zakłada się dość krótkie terminy. **Sądzę, że w wielu przypadkach trzeba będzie stosować przymus (ekonomiczny, prawny, moralny). A do tego wymagana jest silna władza, tzn. ciesząca się powszechnym autorytetem i czynnym poparciem.**

PRZYCZYNY ZEWNĘTRZNE

Oprócz czynników systemowych i historycznych rozwój społeczny zależy również od warunków zewnętrznych: dyfuzji kulturalnej i środowiska przyrodniczego. Polska należy do ściśle powiązanych ze sobą krajów socjalistycznych, pozostających w pewnej konfrontacji z państwami kapitalistycznymi. W naszym obozie rolę przewodnią z różnych względów odgrywa Związek Radziecki. Stąd też wypracowane tam wzory mają jakiś wpływ na pozostałe kraje. Kiedyś, w latach pięćdziesiątych, wpływ ten był bardzo duży. Wydaje się, że nie nauczyliśmy się dotąd we właściwy sposób korzystać z doświadczeń radzieckich. Zamiast uczyć się na popełnionych tam błędach, często je powielamy. Już przed wojną przestrzegała przed tym **Maria Koszutska** i wzywała do śmiałego opracowania własnej polskiej drogi do socjalizmu. W referacie wygłoszonym na IV Kongresie Międzynarodówki, w listopadzie 1922 roku, **Lenin** zarzucił rezolucji uchwalonej przez poprzedni Kongres, że jest **„na wskroś rosyjska, tj. wszystko w niej jest zaczerpnięte z warunków rosyjskich".** A przez to — mówił — ma ona następujące wady: po pierwsze — jest **„zbyt długa"**, a cudzoziemcy nie lubią tego; po drugie — **„jeśli ją nawet przeczytają, to nikt z cudzoziemców jej nie zrozumie"**; po trzecie — **„jeśli jakiś cudzoziemiec w drodze wyjątku ją zrozumie, to nie zdoła jej wykonać".** Stanowisko **Lenina** jest bardzo pouczające i stanowi kolejny dowód jego niezwykłej mądrości.

W rozwoju naszym korzystamy także z wzorów zachodnich. Przede wszystkim spontanicznie przejmujemy tamtejszy styl życia i nie jest dziś w stanie przeszkodzić temu już żadna „żelazna kurtyna". Podobnie jak w przypadku doświadczeń radzieckich również tutaj raczej powtarzamy błędy Zachodu. Być może jest to w jakimś stopniu nieuchronne? **Marks** pisał: **„Każdy naród powinien i może uczyć się od innych narodów. Nawet gdy jakieś społeczeństwo wpadnie na trop naturalnego prawa swego rozwoju (...) nawet wówczas nie może ono ani przeskoczyć naturalnych faz swego rozwoju, ani usunąć ich dekretami. Może jednak skrócić i złagodzić męki porodowe".** Mimo wszystko myślę, że są duże szanse wytworzenia w Polsce samodzielnej narodowej kultury socjalistycznej. W tym celu trzeba dyfuzję rozumnie kontrolować.

Jako ostatnią przyczynę naszych kryzysów wymieniłbym obiektywne warunki przyrodnicze. Szczególnie na aktualny kryzys duży wpływ miały kolejne lata nie sprzyjających warunków klimatycznych 1974—1977 i głównie 1980. Klimat nasz zresztą, tak jak charakter narodowy, cechuje dużą zmienność. Nie mamy niestety zbyt pomyślnego dla rolnictwa klimatu — jest on dużo gorszy niż np. w Niemczech i Czechosłowacji, a także na Ukrainie.

PROBLEM USTALENIA WINNYCH KRYZYSU

Głównym winowajcą jest niewątpliwie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Czy jednak całą partię, wszystkich jej członków, należy obarczać odpowiedzialnością? Słyszymy dziś często stanowczo wyrażane opinie, że winni są tylko niektórzy konkretni ludzie. Przy czym osoby pełniące funkcje kierownicze w KC i KW zdają się sądzić, że ludźmi tymi są po prostu usunięci już członkowie władz centralnych. Natomiast masy partyjne rozszerzają krąg podejrzanych i oskarżonych do całego płatnego aparatu (szczególnie centralnego i wojewódzkiego).

Osobiście nie zgadzam się z tymi poglądami. Uważam, że winna jest cała partia, a jeśli ktoś z jej członków nie poczuwa się do odpowiedzialności, daje dowód, iż kiepskim jest komunistą. Można z pewną przesadą postawić tezę, że partia miała taki aparat i kierownictwo, na jakie zasługiwała. Przecież zło, które powstało, utrzymywało się dzięki oportunizmowi i tchórzostwu setek tysięcy ludzi. Tylko nieliczni „kamikadze" mieli odwagę protestować. A pozostali w obawie, że popadną w niełaskę lub stracą stanowisko woleli milczeć. I pomyśleć, że kiedyś komuniści byli gotowi iść do więzienia i na śmierć za przekonania?!

Lew Tołstoj pisał, że przyczyną wydarzeń „moralnie" jest władza, a „fizycznie" wszyscy ci, którzy się jej poddają. Jest zdumiewające, jak naród nasz — a co gorsze również członkowie partii — łatwo uznał, że winni są po prostu „oni", czyli inni, nie „my". Pewien czytelnik „Polityki" napisał w liście do redakcji: **„Pytam nieśmiało, bo pewnie zasłużę na pogardliwe machnięcie ręką, kto brał i dawał łapówki za tysiące rzeczy w tysiącach sklepów i urzędów? Kto wynosił z zakładów «drobiazgi»? Kto wylewał ze służbowych i przelewał do prywatnych samochodów paliwo? Kto produkował braki? Kto pracował cztery godziny zamiast ośmiu? Kto zakopywał w ziemię drewno budowalne, cement, cegły, stal? Kto sprzedawał i kupował spod lady? Kto kantował, kombinował, «załatwiał»? Kto przeprowadzał dziesiątki innych szwindli?"**, Na te pytanie daje się dziś krótką bałamutną odpowiedź: „oni". Nietrudno rozszyfrować ów kryptonim — „oni" to „my". Ale prawda ta jest niewygodna, dlatego trudno trafić do świadomości. Lepiej oskarża się innych, chociaż wszyscy znają słowa: kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Naród uchodzący za głęboko chrześcijański nie wie i nie rozumie, że odnowę należy zaczynać od siebie.

Znane jest powiedzenie, że jeśli wszycy są winni, to w gruncie rzeczy nikt. Moim zdaniem odpowiedzialna za kryzys — powtarzam — jest cała partia, ale nie wszyscy jej członkowie w takim samym stopniu. Ewentualne zdjęcie odium winy z partii, i wskazanie jedynie kilku czy kilkudziesięciu osób, byłoby moralnie dla nas wygodne i politycznie korzystne. Jednakże nie zabezpieczałoby przed następnymi kryzysami. **Komuniści muszą teraz wyciągnąć wniosek, że zawsze powinni być czujni i odważnie walczyć z przejawami zła.**

W tysiącach rezolucji ludzie domagają się ukarania winnych. Jest to słuszne, ale karać nie powinno się za błędy, gdyż to był system błędów, lecz za korupcję, świadome fałszerstwa i naruszanie prawa. Tych ostatnich, jeśli należeli do elity partyjno-państwowej, winien osądzić specjalny trybunał ludowy, ponieważ wyrządzili szkody narodowi i socjalizmowi w skali międzynarodowej. A zagarnięte przez nich dobra trzeba skonfiskować i przeznaczyć na cele publiczne.

UWAGI KOŃCOWE

Po wyzwoleniu z okupacji hitlerowskiej w rozwoju społeczno-historycznym Polski dokonał się zasadniczy zwrot. Do władzy doszły grupy reprezentujące klasę robotniczą i inne kategorie ludu. Walka o utrwalenie tego stanu rzeczy — wojna domowa — kosztowała nasz kraj ponad 30 tysięcy obywateli. Rozpoczął się długi i skomplikowany proces rewolucji i budowy socjalizmu. W jego toku wywłaszczono bez odszkodowania wielką własność ziemską, uspołeczniono podstawowe środki produkcji i cyrkulacji, dokonano industrializacji i urbanizacji. Ze struktury społecznej wyeliminowano klasę ziemiańsko-obszarniczą oraz wielką i średnią burżuazję. Nastąpił olbrzymi wzrost klasy robotniczej i warstwy pracowników umysłowych, rozwój oświaty i kultury. Definitywnie zlikwidowano hańbiące naród zjawiska bezrobocia, skrajnej nędzy i analfabetyzmu.

Jak w każdym procesie rewolucyjnym, nie udało się uniknąć szeregu poważnych błędów. Powojemne dzieje Polski to, z jednej strony, mnóstwo wspaniałych i zadziwiających świat dokonań, a z drugiej — historia wielu zmarnowanych szans oraz monstrualnego marnotrawstwa sił i środków. Rozwój nie przebiegał po linii prostej: notowaliśmy liczne wypaczenia, zahamowania i tragiczne konflikty.

Począwszy od połowy 1980 roku przeżywamy kolejny etap naszej rewolucji. Dalszy rozwój nowych sił wytwórczych narodu — młodych, wykształconych, nowoczesnych — wymaga szybkiego usunięcia dotychczasowych, nieadekwatnych już form stosunków produkcyjnych i politycznych.

Aktualnym wydarzeniom rewolucyjnym towarzyszy gwałtowna i totalna krytyka przeszłości. Budzi ona rozgoryczenie u tych, którzy byli mocno i autentycznie zaangażowani w budowę powojennej Polski, ale jest to zjawisko historycznie i socjalistycznie prawidłowe. Wymaga więc zrozumienia i cierpliwości. Kolejny, wyższy szczebel rozwoju nie może narodzić się inaczej, jak tylko w drodze negacji poprzedniego, tzn. poprzez radykalne odrzucenie zła i afirmację dobra. Istniejącej rzeczywistości trzeba przeciwstawić w postaci ideałów i programów realizacji to, co już jest realnie możliwe.

Wszystkie spontaniczne i kierowane wystąpienia masowe ostatnich miesięcy dowodzą, jak głęboko w gruncie rzeczy zakorzenione są w świadomości naszego narodu prawdziwe zasady socjalizmu. I dlatego odstępstwa od nich nie będą już dłużej tolerowane. Manifestuje się przy tym jedność moralno-polityczną społeczeństwa. Ale jedność nie za, lecz przeciw tym, którzy nadużywali władzy i zaufania dla własnych partykularnych interesów — doprowadzając kraj do kryzysu społeczno-ekonomicznego i moralnego.

Te cyniczne nadużycia władzy i notoryczne błędy były możliwe w systemie, który przyjęto u nas począwszy od 1948 roku. Wówczas to grupy związane z **Jakubem Bermanem, Hilarym Mincem i Bolesławem Bierutem** odsunęły zwolenników polskiej drogi do socjalizmu skupionych w PPR i w Polskiej Partii Socjalistycznej. Usiłowano odtąd z uporem godnym czego innego budować ustrój na wzór bizantyjski, w którym wszechwładna, pozbawiona rzeczywistej kontroli, biurokracja steruje całością procesów społecznych. Ograniczano inicjatywę jednostek, tłumiono krytykę i ukrywano sprzeczności. A przecież elementarna teza dialektyki głosi, że źródłem rozwoju społecznego są sprzeczności, a jego siłą napędową — konflikty.

• • •

Jakie szanse ma dokonywany proces „odnowy"? Niektóre zjawiska mnie niepokoją i nie nastrajają optymistycznie. Po pierwsze — stosunkowo uboga atmosfera intelektualna i brak naprawdę wybitnych liderów zarówno w NSZZ „Solidarność" jak i w partii. A przecież właśnie obecnie potrzebne są genialne idee i jednostki, które potrafiłyby przekonać i zjednoczyć naród oraz odpowiednio ukierunkować jego działania. Po drugie — brak elementarnego samokrytycyzmu w społeczeństwie. Nie dostrzegają własnych wad i odpowiedzialności nawet ci, których przywary i winy są niewątpliwe. Po trzecie — w zasadzie brak ogólnej gotowości do wyrzeczeń i ciężkiej pracy, jakieś lekkomyślne oczekiwanie cudu. Zdumiewająco beztrosko wywalczyliśmy i pogodziliśmy się z wolnymi sobotami, zamiast właśnie teraz — wobec powagi sytuacji — zwiększyć wysiłki. Znowu aktualna stała się — sugerowana 10 lat temu przez **J. Szczepańskiego** — sprawa wyboru między dwoma cytatami. Pierwszym z Wincentego Pola: **„Ludem, całym polskim ludem, o swej mocy musim wstać".** A druga z **Anatola France'a: „Rożenku, synu mój, nie martw się, albowiem mimo wszelkich wysiłków królów, ministrów i filozofów świat jednak idzie naprzód".** Tylko pozornie, deklaratywnie, wszyscy rozstrzygnęli ów dylemat na rzecz postawy Pola. Ale w rzeczywistości większość spodziewa się, że załatwią same co należy instancje związkowe, partyjne, państwowe.

Kolejnym budzącym niepokój zjawiskiem jest nasilanie się orientacji mieszczańskich i antykomunistycznych. Zbiega się to z podobnym trendem w krajach kapitalistycznych, gdzie obserwujemy wyraźne ożywienie neoliberalizmu i neokonserwatyzmu oraz przesunięcie na prawo. (Rzecz interesująca, że na Zachodzie tak wiele mówi się o kryzysie państwa opiekuńczego („welfare state"). W krajach, które dość silnie rozwinęły systemy opieki społecznej — Danii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Holandii — krytykuje się nadmiernie rozbudowaną biurokrację państwową i partyjną, oderwaną od społeczeństwa obywatelskiego, tłumiącą inicjatywę jednostek i zagrażającą wolności. Zaś klasie robotniczej i związkom zawodowym zarzuca się zbyt wygórowane żądania i zdobycze socjalne, które mają osłabiać zainteresowanie ciężką wydajną pracą i przyczyniać się do kryzysu społeczno-ekonomicznego).

I wreszcie — po piąte — poważne obawy budzi niepodejmowanie przez partię i rząd działań mających na celu sprawiedliwe rozłożenie kosztów naszego kryzysu. Wciąż aktualny jest zgłoszony już 14 listopada 1980 roku, na Plenum KZ PZPR w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica", postulat, żeby **„nadmiernie bogaci znacząco stracili na korzyść biednych".** Jest przecież jawnie skandaliczne, że w tak dramatycznej sytuacji nie obniżono dotąd najwyższych płac, nie opodatkowano sektora prywatnego i dóbr luksusowych oraz nie skonfiskowano nielegalnie zdobytych majątków (co proponowałem na listopadowym konwersatorium w „Fonice"). Bez tych posunięć niemoralne byłoby namawianie uczciwie pracujących obywateli do poświęceń i wydajnej pracy. Od wymienionych działań i przykładnego ukarania winnych należy więc rozpocząć...

EDMUND LEWANDOWSKI

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

NA ANIOŁ PAŃSKI BIJĄ DZWONY

Na skrzydłach żagla nad jeziorem,
Na skrzydłach nart nad śnieżnym polem,
Na skrzydłach siedmiu błogosławieństw,
Na skrzydłach wizji i ob-
Jawień,
Na skrzydłach rapsodycznej mowy,
Na skrzydłach dni Sacrosongowych,
Na skrzydłach krzyży podhalańskich,
Na skrzydłach pieśni „Anioł Pański",
Na srebrnych skrzydłach samolotu
Z błękitu, słońca i obłoków
Spłynąłeś do nas, Śnieżnobiały,
Z Rzymu do Polski, do Warszawy.

I gdyś do ramion swych przygarnął,
Gdyś ucałował ziemi bruzdę,
Łzy kryształowej ciężkie ziarno
Zasiałeś na nadziei wróżbę.

A potem sfruwał z Twojej dłoni
Ptak błogosławieństw w kształcie krzyża
I budził serca, serc miliony
Wskrzeszał, rozświetlał i ożywiał.

I byłeś z nami, Boży Pośle,
W modlitwach, w pieśniach, w dzwonów biciu —
My tylko jedną taką wiosnę
Mieliśmy w milenijnym życiu!

•

W swoim pochodzie apostolskim
Zawsze na falach polskiej mowy
uchwycisz, jak z dalekiej Polski
Na Anioł Pański biją dzwony.

• KOMENTARZ ODAUTORSKI:

Ten okolicznościowy wiersz, napisany we właściwym czasie i przesłany do jednego z katolickich miesięczników, nie mógł ukazać się „z powodów od redakcji niezależnych" jak mnie poinformowała redakcja. Mam nadzieję, że w czasie posierpniowej odnowy zaistniały warunki że utwór ten będzie mógł być opublikowany WRAZ Z NINIEJSZYM KOMENTARZEM. Właśnie mija druga rocznica od czasu pielgrzymki do Polski Ojca Świętego Jana Pawła II. Uaktualnia ten wiersz wstrząsająca wieść o zamachu, dokonanym na polskim Ojcu miłości i pokoju, który prosił wiernych o codzienną modlitwę „Anioł Pański".

Od dr Witolda Czaplińskiego otrzymaliśmy wiersze jego siostry, Ludwiki Biesiadowskiej-Szklarek. Zbiorek jej wierszy pt. „Po drodze" wydała Książnica Polska w Glasgow w 1944 r. Wiersze te były pisane podczas dalekiej drogi z Wilna na Daleki Wschód, a następnie przez Persję, Irak, Palestynę, Egipt, aż do Turcji. Ludwika Biesiadowska była żołnierzem tworzącej się na Środkowym Wschodzie armii polskiej. Została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi. Po wojnie osiedliła się w Chicago, gdzie pracowała w uczelni artystycznej (Ludwika Biesiadowska była magistrem Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie) i aktywnie działała wśród miejscowej Polonii. Zginęła w wypadku samochodowym, w lutym 1976 roku. Prochy jej przywieziono do Łodzi i złożono na cmentarzu na Dołach.

Z dorobku autorki wybraliśmy wiersze poświęcone generałowi Władysławowi Sikorskiemu. Wiersze te były recytowane na żołnierskiej scenie w 1941 roku w Buzułuku, w obecności generała. Wzruszony generał osobiście dziękował autorce, jak podawał polonijny dziennik związkowy w Chicago.

(mg)

LUDWIKA BIESIADOWSKA-SZKLAREK

☆ ✠ ☆

Buzułuk — 1941 r.
wiersz napisany na rozkaz

Twardo nam zajrzał w twarze los,
Dusze nam skrwawił i rozszerzył
Stalową sercom nadał moc,
Przekształcił wszystkich nas w żołnierzy.

Idziemy, równy dudni krok,
Każdy zna jedno, jedno czuje.
I poprzez długie setki mil
Ojczyznę z dala salutuje.

Nareszcie na nas przyszedł czas,
U dziejów stanąć kołowrotu,
My dziś musimy iść i dojść
Bo dla nas nie ma już odwrotu.

Buzułuk — 1941 r.
Wiersz na przyjazd Generała

POWRÓT

Wiecie, czasami mi się marzy pijany szczęściem dzień powrotu,
Kolumny pierwsze już wkraczają do miasta z dalekiego lotu.
Tłum na ulicach, na balkonach wita nas żywym transparentem
i orgia, orgia oszalała, najdroższej bieli z amarantem.
Twarze w łzach najszczęśliwszych, jak w deszczu wiosennym,
Krzyk się zrywa i w szlochu zdławiony przymiera,
A my idziemy wciąż, manierka brzęknie
Lub zalśni w słońcu lufa mauzera.
Dzwony rozkołysane melodią spiżową zwycięstwu pean śpiewają podniebny,
Ręce w górę wzniesione, ręce wyciągnięte.
Słów nie ma, słowa niepotrzebne,
A kwiaty, kwiaty, jak hymn barwny, na szlifach, pasach, pod nogami.
Słuchajcie, my musimy wrócić,
Za bardzo tęsknią tam za nami.

JAROSŁAW WARZECHA

ATLAS ANATOMICZNY

Otworzyłem stary atlas anatomiczny. Otworzyłem po dziesięciu latach chyba.

Przez cały czas, uparcie, szukałem tak zwanej całej prawdy. Teraz patrzę na te rysunki, na zdjęcia nagich kości, mięśni, wypreparowanych nerwów.

Śmieszne — cała prawda leżała sobie zamknięta w wielkim atlasie anatomicznym. Wystarczyło podejść do półki, wyciągnąć odpowiedni tom i otworzyć gdziekolwiek.

Kolumna vertebralis, regio nasalis, tractus opticus. Cała prawda została zapisana po łacinie. Kto by przypuszczał. A ja, niepotrzebnie zmarnowałem tyle czasu. Tyle czasu.

•

O trzeciej po południu spotkaliśmy wściekłego psa. Stał na środku ulicy i patrzył na nas. Było dosyć pusto. Aż dziwnie pusto. Stał i patrzył.

Na pewno jest wściekły — powiedziała pani K. — Lepiej schowajmy się do bramy.

Nikt się nie ruszył. Pani K. miała rację. Znała się na psach, ale to był nasz pierwszy wściekły, którego udało się spotkać.

Pies zrobił dwa kroki i znowu stanął. Na kamienie jezdni kapała ślina. — Biedne stworzenie — powiedziała pani K., która wzrusza się łatwo. — E tam biedne, po prostu wściekłe — powiedział pan J., który jest na ogół realnie nastawiony do przyrody. Staliśmy. Pies znowu zrobił dwa kroki. — Może wejdziemy — powiedziała pani K. — Ja też nie widziałam nigdy wściekłego psa, ale jednak.

Patrzyłem na zmierzwioną sierść, mokre, odsłonięte zęby i wywinięte, powycinane w ząbki, czarne wargi. — Chciałbym jednak spojrzeć mu w oczy — powiedziałem i wtedy pies ruszył ostro do przodu. Był bardzo samotny w tej cichej, popołudniowej, rozgrzanej ulicy.

•

Przemijanie to jest pewnie ta pani, którą spotykam na przystanku. Już nie jest wysoka i szczupła i nie jest piękna. Rano kiedy wszyscy udają, że w nocy nic się takiego nie działo, idzie do sklepu, kupić coś dla męża i dla psa. Wieczorem, kiedy może się jeszcze wiele stać, idzie znowu do sklepu. Patrzy na mnie, a ja nie wiem — pamięta czy zapomniała?

Więc może przemijanie, to jest to światło w oknie naprzeciwko. Trzy gołe żarówki i stojąca lampa. Najpierw gasną żarówki. Lampa pali się jeszcze do trzeciej nad ranem. I tak co noc.

•

Z braku odrobiny czułości powiesił się ktoś na strychu. Właśnie przechodziliśmy tamtędy z panią K. — Dziwne — powiedziała — z jakich to powodów wieszają się ludzie.

Weszliśmy na schody. Były dosyć brudne i powyszczerbiane. Jakby ktoś po nich ciągnął ciężką szafę. Nie miały w sobie nic z elegancji starych domów. Drzwi na poszczególnych piętrach uderzały swoją pospolitością. Wszystkie toporne i pomalowane na jednakowy kolor starych buraczków. Już z góry zapowiadały, że nie ma się za nimi czego spodziewać.

Na samej górze pachniało pajęczyną. Belki dachowych wiązań, jakaś stara wanna i skrzynia z piaskiem. Chodziliśmy po strychu — pani K. coraz bardziej niezadowolona, ja, coraz bardziej na nią oburzony.

Zeszliśmy ze strychu i pojechaliśmy za miasto. Krańcówka autobusu znajdowała się akurat na krawędzi płaskowyżu. Wielka płyta wzniesienia kończyła się tutaj dosyć stromym stokiem. Przedwieczorne powietrze zagęszczało się na horyzoncie w niebieską mgiełkę. Autobus odjechał. Usiedliśmy na kamiennym murku, zwieszając nogi nad krawędzią urwiska. Jakby przygotowując się do lotu. Jeszcze chwila, jeszcze chwila...

Siedzieliśmy tak, aż do zmroku.

Kiedy jechaliśmy autobusem w stronę miasta, pomyślałem, że pani K. miała jednak rację — dla braku odrobiny czułości, nie można się wieszać byle gdzie.

•

Najlepiej jest czekać. Patrzeć do przodu i czekać. Planować powoli, rozważnie, bez pośpiechu. Zawsze jest wtedy coś przed. Może jeszcze nie dzisiaj i nie jutro. Pojutrze można iść na spacer. Nawet w deszczu. Aż na to duże pole za torem kolejowym. Daleko widać kępę drzew, a za nią dom. Do domu prowadzi gruntowa droga. Więc można wejść na tę drogę i iść. Ale jak się już dojdzie, to trzeba koniecznie przeczytać tablicę, która wisi na domu. Jest na niej napisane — Oczyszczalnia ścieków.

•

Odwiedziliśmy z panią K. pewnego Japończyka. Japończyk przyjął nas serdecznie, posadził w wygodnych fotelach, poczęstował zieloną herbatą. Pani K. pytała Japończyka o kraj i ludzi, ja pytałem Japończyka o Japończyka.

Patrzył na mnie oczami ukrytymi za mongolską fałdą i mówił o zielonym lotnisku, na którym wylądował jego samolot dziesięć lat temu. Był wtedy gorący lipcowy dzień. Szedł z tego lotniska do miasta aleją wysadzoną brzozami i opowiadał o bieli kory. Potem opowiadał o kolorze nieba i czerwieni cegieł.

W miarę naszej rozmowy Japończyk rozkręcał się, mówił coraz więcej, może nawet dokładniej, ale wracał do swego pierwszego wrażenia — do kolorów. A więc nie tak ważne było zetknięcie z innymi twarzami, z innymi pojmowaniami może czasu, może nawet bycia tu i teraz, jak z tą zielenią trawy, niebieskością nieba i bielą kory na drzewie. I to było wszystko, co udało mi się wyciągnąć od Japończyka o nim samym.

Rozmowa pani K. trwała znacznie dłużej i była znacznie bardziej ożywiona. Kiedy już wyszliśmy, powiedziała do mnie — Japończyk nigdy nie będzie mógł opowiedzieć o wrażeniach, ponieważ jego prawdziwe wrażenia to tuman mgły, który ma kolor, smak i zapach. Spróbuj to opowiedzieć. To był mądry i uprzejmy człowiek, dlatego mówił prawdę. Ja pytałam go o kraj i ludzi takich, jacy są w mniemaniu Japończyka inni Japończycy. Teraz zbuduję sobie kolor, smak i zapach, wierząc, że tak widzieli i czuli. Nic ponad to nie jesteśmy w stanie zrobić.

MÓWIO, ROBIO...

Miała pokarbowane włosy. Długie i w karby.

Nikt tak nie nosił.

Skończyła jakieś studia, chyba ekonomię i wróciła do siebie.

Dziwnie mówiła — robio, mówio, śpio. Bez „a".

Tam u siebie była dobra, rewelacyjna i niezwykła nawet.

Zrobili ją prezesem Geesu w Hajnówce. Może by za mąż wyszła? Miała dzieci? Ale przyjechali do Hajnówki artyści. Na plener.

Potem wyjechali, a ona już nie chciała być prezesem.

Mieszkała na Pradze, w pokoju na parterze. Gołe ściany, goła podłoga, łóżko składane przykryte kocem. Wszystkie te wędrowne mają koc.

Gotowała grzałką herbatę i jajka na śniadanie.

Woda w zlewie przy drzwiach.

Dobry ten zlew. Nocą pętać się po ciemnym, wspólnym korytarzu...

Chciała do telewizji na asystentkę reżysera, no, chociaż na cokolwiek.

Mówio, robio, śpio — dalej tak mówiła. Egzotycznie.

W łóżku była słaba. I ten zimny pokój na Pradze! Nikt nie chciał.

Miała zapach kopiowego ołówka i to wzięło jednego. Starszy był. Albo w tym ołówku coś jednak...

Ostatni raz widziano ją kilka lat temu. Piła wódkę w Spatifie. Podobno była asystentką. Do czegoś tam.

Mówio, robio, śpio — tego się chyba nigdy nie pozbędzie.

W WOLNOŚCI CIENIU

Wtedy właśnie znaleźni starą klatkę po kanarku. Januszek i Ten Drugi. Klatka stała przy śmietniku. Całkiem jeszcze dobra. Więc Januszek wziął klatkę i poszli na łąki przy starej cegielni.

Postawili ją w wysokiej trawie. Usiedli i patrzyli na motyle białe i żółte.

W takim słońcu chce się tylko siedzieć. Siedzieć i patrzeć. Ale Januszek zdjął koszulę i tą koszulą strącił znad trawy jednego żółtego. Ten Drugi wziął motyla za skrzydła. Trochę pyłku zostało na palcach. — Motyl umrze — powiedział Januszek. Ale nie umarł. Tłukł się po klatce, a później usiadł na drążku. Skrzydła drgały.

Patrzyli przez pręty w błyszczące oczy motyla. — Będziemy go hodować — powiedział Drugi.

Motyl umarł następnego dnia. Leżał na dnie klatki z aureolą pyłku wokół skrzydeł. — Taka duża klatka. Był prawie wolny — powiedział Januszek.

KRYSTYNA KWIATKOWSKA

APOKRYF

Gdy Chrystus umierał na krzyżu, w piekle zapanowało ożywienie. Spodziewano się, że zstąpi i, jako że jest Chrystusem, zbawi wszystkich.

I zstąpił. Widząc jednak wlepione w siebie oczy, pożądliwe ręce i usta skore do pocałunków, których rodzaj zdążył już poznać — zadrżał i wycofał się.

Rozległ się płacz i zgrzytanie zębów, zrozumieli bowiem, że nigdy i znikąd nie przyjdzie ratunek.

I byli ocaleni.

I nagroda w Turnieju Jednego Wiersza „O Puchar Wina" zorganizowanym przez Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych ŁDK i Koło Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP.

JACEK MACIASZEK

WIERSZ NA ŚWIĘTA

wigilia
„wszyscy ludzie są braćmi
więc nie mamy szans"
wigilia
zwierzęta wyją ludzkim
głosem
i pożerają się nawzajem
na dworcach parkingach
specjalnie skonstruowanych
wybiegach
podobnie jak ludzie
pijani kolędnicy
walą kolbami w drzwi
wołają żeby otworzyć
używają wulgarnych wyrazów
wtedy
gasimy choinki
pochylamy się nad rybą która błyszczy

II nagroda w Turnieju Jednego Wiersza „O Puchar Wina".

KRZYSZTOF OSTASZEWSKI

☆ ✠ ☆

już nie ma wielu różnic między niebem a drzewami
ptaki w gałęziach drzemią stadami w niebie tańczą
ich cienie na głowach ludzi na żółtej martwej trawie
na domach czarnych szarych w mieszkaniach dla tubylców

i nikt się nie przebudzi
w tak dużym autobusie
tubylcy mali dzielni
w kolorach nazbyt wielu

już nie ma wielu różnic między nami i ptakami
tymi które śpią i tymi których nie ma
jesteśmy i nie śnimy idziemy dzielni mali
już nie ma wielu różnic między nami dziś i wczoraj

II nagroda w Turnieju Jednego Wiersza „O Puchar Wina".

BEZ GŁOWY

W ciągu ostatnich kilku lat Łódź witała, a my prezentowaliśmy czytelnikom „Odgłosów", kilku kolejnych dyrektorów Teatru Wielkiego. Zarówno powitania, jak i prezentacje, były we wszystkich przypadkach serdeczne. Serdeczność ta wynikała z jednej strony z właściwie chyba rozumianej gościnności, która każdego przybysza każe witać z nadzieją, iż stanie się on domownikiem i wniesie w ów dom cenny element jego rozwoju, z drugiej — z racjonalnymi przesłankami umotywowanej wiary, że osobowość, talent i zawodowy dorobek gościa są gwarancją spełnienia owych nadziei.

W ciągu ostatnich kilku lat Łódź żegnała kilku kolejnych dyrektorów naszego Teatru Wielkiego. Pożegnania te były najdelikatniej mówiąc, skromne.

Częstotliwość zmian na stanowisku dyrektora łódzkiej sceny operowej stała się taką hiperprawidłowością, że musiała ona zacząć wreszcie bulwersować środowiska kulturalne. Częstotliwość ta musiała wreszcie wzbudzić dziennikarską chęć dotarcia do przyczyn tego zjawiska. Musiała, zwłaszcza, że ostatnia kadencja kolejnego dyrektora naszego „Wielkiego" trwała zaledwie cztery i pół miesiąca.

Imając się najprostszego sposobu zapytałam „strony" o których „w mieście" mówiło się, że są zainteresowane tą kwestią, o przyczyny kolejnej zmiany na stanowisku dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi.

JANUSZ CEGIEŁŁA

— Dlaczego odszedłem z tego stanowiska? Pytanie istotnie niezwykle proste, odpowiedź będzie jednak bardziej skomplikowana, ale postaram się aby była wyczerpująca. Żeby jednak mówić o moim odejściu, trzeba zacząć od samego początku, czyli od przyjścia do Teatru Wielkiego. O wielu motywach mojej pozytywnej odpowiedzi na propozycję objęcia dyrekcji tej sceny mówiłem już w naszej pierwszej, czy też jak ją pani nazywa, prezentacyjnej rozmowie. Nie będą się więc powtarzał. Czuję jednak potrzebę przypomnienia okoliczności, w jakich propozycja ta została mi złożona. Otóż otrzymałem ją w takiej sytuacji tego teatru, którą pozwolę sobie nazwać mianem dramatycznej. W połowie bowiem sezonu, który teraz właśnie zbliża się ku końcowi, odszedł z teatru mój poprzednik i nie tyle stan teatru, ile moment w którym się to stało, uczynił z tej oferty propozycję, „nie do odrzucenia" — nie tylko dla mnie, ale dla każdego, komu dobro teatru polskiego w ogóle leży na sercu. Moment ów nie pozostawiał też właściwie praktycznie żadnego czasu do namysłu. Nie chcę przez to powiedzieć, że przyjąłem tę propozycję bez namysłu, w ogóle, chcę tylko byście państwo uwierzyli, że przyjąłem ją czując, iż nie wolno mi jej nie przyjąć, jeśli w mojej właśnie osobie zarówno łódzkie władze, jak i zespół teatru zobaczyły człowieka, który może pomóc tam gdzie pomóc naprawdę trzeba. Pomijając już skłaniające mnie do pozytywnej odpowiedzi względy emocjonalne, udzieliłem jej w poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności. Jestem bowiem przekonany, że jeżeli (dokładnie obliczywszy swoje siły) mogę zrobić coś pożytecznego, to po prostu nie wolno mi tego nie zrobić. Dzisiejsze czasy wymagają od wszystkich obywatelskiej postawy i — choć to okropnie wyświechtane słowa — prawdziwego zaangażowania politycznego. Rozumiałem więc, iż władzom łódzkim chodzi nie o to bym przyszedł i „robił" tu teatr jakikolwiek, byle tylko podtrzymać jego wątłą egzystencję, ale bym robił teatr dobry, realizując najlepszą wizję, jaką mogę sobie wykreować. Propozycji „byle tylko jakoś..." i tak bym zresztą nie przyjął, bo by mnie ona całkiem po prostu osobiście obraziła. Myślę zresztą, że byłaby ona obraźliwa nie tylko dla mnie. Mówiłem też o zaangażowaniu politycznym i może mi pani odpowiedzieć, że trudno z klasycznej sceny operowej robić trybunę. Ale przecież nie „trybunowość" i nie tylko przedmiot działania, czynią naszą pracę zaangażowaną bądź nie. Myślę, że zawsze, a dziś szczególnie, także jakość naszych działań w każdym ich przedmiocie stanowi miarę odpowiedzialności, zaangażowania i obywatelskiej postawy. Powiedziałem więc, że chcę robić teatr dobry, na wysokim europejskim poziomie.

Władze miasta wraziły swe zadowolenie, zapewniły o już istniejących sprzyjających warunkach (rzekomo ustabilizowany budżet stanowiący finansowe zabezpieczenie realizacji programu działania artystycznego), zespół obiecał pomoc, a działająca na terenie teatru „Solidarność" — życzliwą współpracę. Tymczasem, co stwierdzić mogłem dopiero od momentu przyjścia do teatru, zapewnienia władz o uporządkowanej sytuacji finansowej okazały się przesadzone o więcej niż jedną czwartą teatralnego budżetu (do pełnej w moim przekonaniu sprawności teatru brakuje w jego budżecie niebagatelnej kwoty dwudziestu sześciu milionów złotych). Monumentalny i piękny gmach nie ma magazynów, co nie pozwala na stałą obecność w repertuarze teatru co najmniej dwudziestu tytułów.

Skonfrontowawszy więc plan własnych działań z rzeczywistą, zastaną już na miejscu sytuacją teatru, poinformowałem władze (już w teatrze pracując, bo wiedziałem, że zacząć normalną robotę trzeba natychmiast), że formalnie zatwierdzającą mnie nominację, a wraz z nią pełną za wszystko odpowiedzialność, przyjmę po stworzeniu przez te władze warunków niezbędnych dla normalnej pracy teatru. Jeśli nie będę miał tych warunków — co również powiedziałem — prowadzenie Teatru Wielkiego będzie zadaniem przekraczającym moje umiejętności.

Łódzkie władze pełne są prawdziwej życzliwości i jest mi naprawdę niezmiernie przykro, że okazało się, iż po prostu nie mają możliwości zapewnienia teatrowi owych niezbędnych warunków. Mam do nich jednak odrobinę żalu o to, że nie przestawały obiecywać. Już przecież w momencie składania mi propozycji sytuacja finansowa teatru i skala jego potrzeb musiała im być wiadoma. Może ktoś inny umiałby w takiej sytuacji poprowadzić Teatr Wielki. Ja zaś, zdawszy sobie sprawę z własnej nieumiejętności i niechęci do pracy półśrodkami, musiałem złożyć broń. To jest wyłącznie moja przegrana. Zdałem tę broń we wcześniej ustalonym z władzami terminie ostatecznych decyzji. Fakt, iż w tym samym mniej więcej terminie zaproponowano mi objęcie dyrekcji Teatru Wielkiego w Warszawie nie ma z tym żadnego bezpośredniego związku. Przyjąłem tę istotnie atrakcyjną propozycję dopiero wtedy, kiedy zgodnie z umową zawartą z łódzkimi władzami, mogłem poczuć się wolny. Umówiliśmy się tu bowiem, że ostateczną i konkretną odpowiedź na moje postulaty finansowe i organizacyjne otrzymam do końca pierwszego kwartału. Przed upływem tego terminu na propozycje płynące z Warszawy nie dawałem żadnej odpowiedzi. Pozytywnej — nie chciałem, licząc, że władzom łódzkim uda się zgromadzić niezbędne fundusze i zabezpieczyć nasze potrzeby organizacyjno-techniczne; negatywnej — nie mogłem, nie wiedząc jak rozwiąże się sytuacja teatru i w jakiej sytuacji znajdę się ja sam.

DANUTA WÓJT-SMIGIELSKA

— zastępca dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi:

— Dyrektor Cegiełła, którego odejścia ogromnie żałujemy, aż przez kilka tygodni nabierał orientacji, w potrzebach Teatru Wielkiego. Na dodatkową, a niezbędną jego zdaniem dotację dla Teatru Wielkiego, po prostu nas nie stać. Jej wysokość rosła zresztą w postulatach dyrektora — od zgłoszonej nam początkowo sumy dziesięciu milionów złotych do — w ostatecznych przedłożonych nam rachunkach i wyliczeniach — dwudziestu sześciu milionów.

Rozumiemy te potrzeby i staraliśmy się wyjść im naprzeciw, zabiegając u prezydenta miasta o dodatkowe fundusze. Teatr mógł jednak otrzymać jedynie jedenaście milionów, a dalej... No cóż, porzekadło o Salomonie dzisiaj, jak nigdy przedtem, pozostaje aktualne. Postaraliśmy się też o przysporzenie Teatrowi Wielkiemu dodatkowej powierzchni magazynowej — udało nam się znaleźć chociaż w części rozwiązujący ten trudny problem obiekt przy ul. PKWN. Nie udało się natomiast niestety zrealizować tego postulatu dyrektora Cegiełły, w którym wnioskował on o przyznanie do jego wyłącznej dyspozycji dodatkowego miliona złotych na nagrody dla pracowników teatru. Dyrektor Wydziału Kultury zgłosił natomiast gotowość przeznaczenia większej części funduszu nagród i osoby wskazane przez dyrekcję Teatru Wielkiego po szerszej konsultacji ich kandydatur wyróżniać swoimi nagrodami, ale tej propozycji dyrektor Cegiełła nie przyjął, nie godząc się z argumentem o braku podstaw prawnych dla usankcjonowania jego sugestii. Poza tym, no cóż... Propozycja objęcia dyrekcji Teatru Wielkiego w Warszawie jest z pewnością bardziej atrakcyjna...

JANUSZ CEGIEŁŁA

— Tak proszę pani. Przegrałem. Musiałem poddać się obiektywnym „niemożnościom". Przegrałem, nie doczekawszy się spełnienia obietnic, przegrałem wobec pustki kryjącej się za deklaracjami. Usłyszałem gdzieś nawet zarzut o braku mojej troski o pracowników... Wyjaśnijmy to od razu: z braku troski stawałem niemal na głowie, by ciężko pracujący u nas ludzie, od których wymagałem skupienia się na sprawach artystycznych nie musieli wystawać w kolejkach, by cokolwiek dostarczano do naszego bufetu, w którym, mówiąc bez ogródek po prostu nie było co jeść. To z braku troski walczyłem o milion, a później o 500 tysięcy złotych rocznie, by rządzić na „tak" — by nie tylko karać „obcinaniem" dniówek za przewinienia, ale i nagradzać za dobra, codzienną pracę, świetnie zaśpiewane „szeregowe" przedstawienie, za znakomicie — choćby nawet na ostatnim w sezonie spektaklu zatańczoną partię, za właściwy stosunek do codziennej pracy, a nie tylko tej granej na „podwójnych obrotach" premiery.

Doświadczyłem też takich żądań i metod działania naszej „Solidarności", które nie tylko wytworzyły między nami sytuację wręcz konfliktową, ale utrudniły mi wykonywanie wynikających ze statusu dyrektora teatru obowiązków i zmierzały do pozbawienia mnie istotnych uprawnień, z których dla dobra teatru musi korzystać jego dyrektor... „Solidarność" w Teatrze Wielkim jedynie zabrania i żąda... Pod groźbą strajku, oczywiście...

ADAM BŁAŻEJCZAK

— przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" w Teatrze Wielkim:

— Rozbieżności stanowisk nie nazwałbym konfliktem, tak jak określił to w wywiadach dyrektor Cegiełła. Były sprawy wymagające załatwienia, kwestie, z którymi występowaliśmy w imieniu wszystkich pracowników naszego teatru, była istotna różnica zdań na temat istotnych dla naszego zespołu i funkcjonowania całego teatru problemów. Różnice zdań można zmniejszyć w dyskusjach, które winny się toczyć w atmosferze wzajemnego zrozumienia racji partnera, albo zwiększyć — nie dopuszczając do dyskusji, lub odmawiając godności partnera stronie prezentującej odmienny pogląd. Nie chcę powiedzieć, że dyrektor Cegiełła nie dopuszczał do dyskusji. Muszę jednak stwierdzić, że przystępował do nich bez chęci zrozumienia naszych racji, a zawsze z nieugiętą wolą postawienia na swoim i zawsze z pozycji jedynego gospodarza naszego wspólnego teatralnego gospodarstwa. Jego poparcie dla naszej teatralnej „Solidarności" było tylko teoretyczne, praktycznie zaś — co kilkakrotnie dawał nam do zrozumienia — nie uznawał nas jako partnerów we wspólnym dziele budowania teatru...

Reprezentujemy interesy pracowników. Reprezentujemy je z przekonaniem o ich ważności dla artystycznych rezultatów działania naszej sceny. Mamy prawo twierdzić, że one także muszą znaleźć się w polu widzenia dyrektora teatru. Kwestie, wokół których próbowaliśmy dyskutować, mogły być rozwiązywane choćby i tygodniami, jeśli dyskusjom tym towarzyszyłaby chęć wynegocjowania wspólnych, satysfakcjonujących obydwie strony rozwiązań. Na pewnym etapie odnieśliśmy wrażenie, że dyrektor dyskutować nie chce, a ostatnio pozwolił nam mieć co do tego absolutną pewność. Wizja stanowiska dyrektora Teatru Wielkiego w Warszawie nabrała dla naszego szefa takich realnych kształtów i stała się konkretem, że dyskutować właściwie nie mieliśmy już o czym.

Zaczęliśmy rozmowy od kwestii podwyżek płac, tuż po rozpoczęciu przez dyrektora Cegiełłę pracy w naszym teatrze. Drugi problem narodził się później, choć nie o wiele później, jeśli zechce pani pamiętać. Cały okres pracy dyrektora Cegiełły w naszym teatrze liczył zaledwie cztery i pół miesiąca, przy czym już w połowie tego okresu dyrektor dawał nam do zrozumienia, że jego zainteresowanie pracą w naszym teatrze powoli wygasa. Był wyraźnie zniechęcony stosunkiem władz do stawianych przez niego wymagań finansowych (chodziło o znaczne zwiększenie budżetu teatru), był zniechęcony ich niemocą finansową i organizacyjną; nie chciał żadnego kompromisu. Rozumiemy go, z pieniędzmi dla teatru jest rzeczywiście niedobrze. Nasze potrzeby finansowe sięgają właśnie takich kwot, o jakie wnioskował dyrektor Cegiełła i my również ubolewamy nad tym, że nie zostały one zabezpieczone w pełnej wysokości. Trudno jednak winić za to wyłącznie władze lokalne. Nasz problem wiąże się bowiem z kwestią funduszu na kulturę w skali całego kraju. Lokalne władze przeliczyły się w deklaracjach składanych naszemu dyrektorowi, ale pewnie i one mają żal do „góry".

Lokalne władze nie złożyły jednak broni i nie „poszły sobie", a nasz dyrektor tak właśnie „sobie poszedł". Nie twierdzę, że się załamał. Wydaje mi się, że konsekwencja z jaką postąpił była zbyt „żelazna". Jest w nas straszny żal, że nie chciał z nami rozmawiać, że mimo deklaracji najgorętszych uczuć dla naszego miasta i teatru zostawił nas tak po prostu... dla lepszej — jego zdaniem — atrakcyjniejszej propozycji objęcia dyrekcji stołecznej sceny operowej.

Wracając do owych przedmiotów sporu. Pierwszym była sprawa pieniędzy na podwyżki płac. Na początku, gdy tylko zrodziła się ta kwestia dyrektor orzekł, że nie da na podwyżki ani grosza, w końcu jednak dał się przekonać. Okazało się, że można było znaleźć w budżecie teatru przeszło siedemset tysięcy złotych.

Foto: G. Pucciato

ADAM DULIŃSKI

— członek KZ NSZZ „Solidarność" w Teatrze Wielkim:

— Byliśmy jednak pełni dobrej woli. Chcieliśmy pracować z dyrektorem Cegiełłą. Wszyscy soliści i cała orkiestra podjęła decyzję o normalnej pracy w wolne soboty. Jak pani widzi, byliśmy skłonni do kompromisu. Zrezygnowaliśmy ze swoich racji. Dla sprawy. Dla dobra teatru. Uznaliśmy, że dobro teatru tego właśnie od nas wymaga. Sami siebie przekonaliśmy, że nie można mieć wszystkiego od razu.

Nie bardzo wiem, dlaczego władzom miasta nie udało się do tego przekonać naszego dyrektora. Nie wiem też, jak silna była argumentacja naszych władz; a może nie była silna, może niezbyt wygodny był dla nich aż tak konsekwentny człowiek, który nie mogąc doprosić się spełnienia warunków niezbędnych dla jego i naszej pracy, warunków właściwych dla osiągnięcia tyleż zamierzonych, co i wymaganych celów, stwierdzić musiał chyba w duchu, że trudno mu będzie rozliczać się z planów, które przy braku owych warunków byłyby niemożliwe do spełnienia mimo jego i naszych najlepszych chęci. Oceny przyszłyby niebawem. Tylko na nie nie musimy nigdy czekać.

To, co tu przed chwilą powiedziałem, jest zaledwie przypuszczeniem. Takiemu przypuszczeniu jednak nie mogę się po prostu oprzeć.

ADAM BŁAŻEJCZAK

— Problemem, jaki również staraliśmy się wydyskutować, były kwestie kadrowe. Nasze starania nie zostały niestety uwieńczone sukcesem — dyskusji nie było. Dyrektor bardzo szybko stwierdził, że nie widzi możliwości współpracy ze swoim zastępcą, panem Radosławem Surowcem. W tak krótkim czasie dyrektor Cegiełła nie mógł stwierdzić jego nieprzydatności na tym stanowisku; my znamy pana Surowca dłużej i bardzo cenimy jego pracę. Stanęliśmy więc w jego obronie w sposób istotnie zdecydowany.

Prawo do kierowania polityką personalną zastrzeżone było dla dyrektorów do Sierpnia. Sierpień je uchylił. Wniosek dyrektora Cegiełły o odwołanie jego zastępcy nie był, naszym zdaniem, niczym uzasadniony. Nie było też żadnych przeszkód, by między obydwoma panami narodziła się nić porozumienia. Jeśli zaś chodzi o tworzenie przez dyrektorów i nie tylko dyrektorów, zespołów złożonych z tzw. swoich ludzi, to przecież wszyscy mamy w tym względzie niedobre doświadczenia. „Swoi ludzie" to klika!

Wśród kwestii kadrowych znalazła się także sprawa kierownika chóru. Pan Zieliński, który pracuje z naszym chórem, nie spodobał się dyrektorowi Cegielle, mimo że dyrektor nie widział go przy pracy. Dyrektor Cegiełła mógł oczywiście wnioskować o metodzie jego pracy na podstawie efektów pracy chóru na scenie, ale po pierwsze o pracy chóru mówił w superlatywach (np. przy okazji wznowienia „Wolnego strzelca"), po drugie nie można oceniać czyjejś pracy jeśli nie jest ona wykonywana we właściwych warunkach. Prosiliśmy więc dyrektora Cegiełłę by zechciał wstrzymać swoją decyzję i dać kierownikowi chóru szansę spokojnego przygotowania najbliższej premiery. Postulowaliśmy również, by chórowi i jego kierownikowi stworzono nie nadzwyczajne, ale po prostu właściwe warunki pracy... Nasz sprzeciw wobec propozycji natychmiastowej zmiany na stanowisku kierownika chóru wziął się również i stąd, że proponowany przez dyrektora Cegiełłę „nowy człowiek" nigdy nie pracował z chórem operowym, a jedynie z chórami wykonującymi inne formy muzyczne i poza wystarczającymi dla nas powodami, które przedstawiliśmy na początku tej sprawy, uznaliśmy również, że taka zmiana nie byłaby zamianą na lepsze.

JANUSZ CEGIEŁŁA

— Pragnąłem, by moim zastępcą był ekonomista, którego kwalifikacje byłyby gwarancją właściwego zagospodarowania budżetu. Niechęć chóru do zmiany kierownika bierze się, jak sądzę, z uzasadnionej obawy o rezultat swego rodzaju weryfikacji artystycznej każdego z jego członków, którą zarządziłby proponowany przeze mnie kandydat na to stanowisko. Ale najbardziej bolesne są dla mnie dwie sprawy. Pierwsza to ewolucja naprawdę niemożliwej w sztuce demokracji w stronę niszczącego ją bałaganu, lub jak kto woli anarchii, druga — to plotka mówiąca o tym, jakoby do odejścia z Łodzi skusiła mnie wyłącznie atrakcyjność propozycji warszawskiej. Proszę pani, mnie naprawdę nie chodzi o dyrektorski fotel i to koniecznie w stolicy. Propozycję objęcia dyrekcji warszawskiego „Wielkiego" miałem już dwa lata temu. Jeśli zaś przejąłem ją dopiero teraz, to tylko dlatego, że dopiero teraz będę mógł tam działać. W Łodzi „Solidarność" teatralna chciała mi odebrać prawo do kierowania polityka personalną, do tworzenia zespołu najbliższych współpracowników. Chciano mnie wmanewrować w sytuację, w której ponosiłbym odpowiedzialność za decyzje podejmowane kolektywnie, a pozostające w niezgodzie z moim przekonaniem. No cóż, ja inaczej wyobrażam sobie status dyrektora placówki artystycznej... Nie ukrywam, że w takiej sytuacji propozycja objęcia dyrekcji warszawskiej sceny operowej stała się dla mnie tym bardziej atrakcyjna że pozwoli mi, mam nadzieję, realizować własne przekonania o tym, jak kierować teatrem operowym.

ADAM DULIŃSKI

— Proszę pani, była w nas chęć dyskusji, „dogadywania się", pracy w dobrej twórczej atmosferze. Ogromnie zależało nam na osobie dyrektora Cegiełły. Propozycja powierzenia dyrekcji Teatru Wielkiego Januszowi Cegielle wzbudziła w nas entuzjazm i aprobatę. Bardzo cieszyliśmy się, że zechciał tę propozycję przyjąć. Liczyliśmy na to, że będziemy razem „długo i szczęśliwie". Wiemy z jak wielką konsekwencją walczył o sprawy bardzo dla nas wszystkich ważne. Walczył dla nas, a teraz z nami go nie ma. Właściwie nie bardzo wiadomo co mówić. Powiedzieliśmy już wszystko i pewnie także nic nie powiedzieliśmy. Jesteśmy w punkcie zerowym. Znowu.

JANUSZ CEGIEŁŁA

— Jest mi naprawdę bardzo przykro. Łódź jest moim rodzinnym miastem i ogromne nadzieje wiązałem z powrotem do tej „ziemi obiecanej". Nie mogłem uczynić inaczej. Nie mogę przykładać ręki do żadnych działań, które w zamierzony bądź niezamierzony sposób sprawią, że z Teatru Wielkiego zostanie teatr bardzo mały.

Notowała: EWA PANKIEWICZ

Tadeusz Szczepański

PRZYSZŁOŚĆ między lękiem i nadzieją

KORESPONDENCJA z BERLINA ZACH.

Festiwal, o którym będzie mowa, nie należy do jednego z licznych „targowisk próżności", w które przerodziły się współczesne filmowe spędy ze swoim rytuałem fałszywego splendoru, jałowego snobizmu, gwiazdorskich fajerwerków i skandali, na których znika z pola widzenia kulturalny cel imprezy, bo autentyczne wartości zostały zastąpione reżyserią pozorów. Festiwal, o którym chcę napisać, nie jest festiwalem, „o którym się mówi", a szkoda, ponieważ jego formuła zawiera w sobie problematykę najistotniejszą dla rozwoju ludzkiego gatunku.

Pod hasłem

PRIX FUTURA

czyli Nagroda Przyszłości, Radio i Telewizja Zachodniego Berlina oraz drugi program TV RFN organizują co dwa lata w Berlinie Zachodnim imprezę, której celem jest przegląd i wyróżnienie telewizyjnych sztuk i filmów dokumentalnych oraz radiowych słuchowisk i reportaży, traktujących o szeroko pojętej przyszłości człowieka. Założenia konkursu są następujące (cytuję intencje organizatorów):

„— pomagać zrozumieniu jutrzejszego świata i jego rozwojowi;

— służyć wzajemnemu zrozumieniu narodów drogą międzynarodowej współpracy organizacji zajmujących się społeczną komunikacją;

— zainspirować nowe drogi rozwoju twórczości w ramach środków masowego przekazu".

Trudno przeoczyć fakt, że festiwal Prix Futura został zainicjowany w mieście, które ma znacznie więcej powodów do pytania o przyszłość od innych miast, a historycznego wymiaru i niezwykłej temperatury emocjonalnej dodawał tegorocznemu, już siódmemu z kolei konkursowi, jego termin przypadający od 29 marca do 5 kwietnia. Te szczególne okoliczności czasu i miejsca tej imprezy podkreśliły jej głęboki sens humanistyczny. Dyskusje na temat sytuacji w Polsce, która w tamtych pamiętnych dniach przybrała charakter najbardziej dramatyczny, tworzyły pełen lęku i nadziei zarazem akompaniament przeglądu, w którego tematyce oba te doznania, tym razem w światowej skali i w różnych przekrojach problemowych, również walczyły o lepsze.

PRZYSZŁOŚCIĄ INTERESUJE SIĘ KAŻDY

ale każdy własną. Egoizm jednostkowy, grupowy, instytucjonalny, klasowy, narodowy czy ustrojowy, stanowi najbardziej niebezpieczne zagrożenie dla przyszłości człowieka, powoduje bowiem śmiercionośny konflikt partykularnych interesów, które wyznacza czasowy horyzont życia jednego, najwyżej dwóch pokoleń. Widmo apokalipsy, finalnej i nieodwołalnej katastrofy, towarzyszące ludzkiej świadomości od niepamiętnych czasów, nabrało u schyłku naszego stulecia przeraźliwie konkretnych, technicznych kształtów. Zbliżamy się do kresu drogi rozwoju cywilizacji, która została wyznaczona przez racjonalistyczne idee Oświecenia, przez głęboko w swojej istocie irracjonalny kult rozumu, nauki i postępu. Filozofowie i artyści od dawna przestrzegali przed tym kierunkiem rozwoju ludzkości, jako tragicznie sprzecznym z wewnętrznym światem człowieka, z jego rzeczywistymi, emocjonalnymi potrzebami. Pojawiają się coraz liczniejsze apele intelektualistów o *nowego człowieka* i *nowe społeczeństwo*. Autor jednego z nich, zawartego w książce *Człowiek tysiąclecia*, niemiecki publicysta-futurolog, *Robert Jungk*, pisze: *Ogromne niebezpieczeństwo, w które nasz świat został wciągnięty przez obecny „pęd do przodu" w imię zasad coraz bardziej niebezpiecznych, wymaga całkowitego przestawienia mentalności, bardziej radykalnej wyobraźni i dużego ryzyka.*

A zatem: w którym miejscu tego samobójczego pędu jest świat A.D. 1981? Gdzie jesteśmy i dokąd idziemy? Jaką mamy świadomość kierunku tej drogi a jaką — jej celu? Czy mamy jeszcze szansę wyskoczyć z tego szalonego pociągu zwanego pożądaniem, pożądaniem coraz większej ilości dóbr konsumpcyjnych, określanych mianem szczęścia, z pociągu, który pędzi coraz szybciej? Gdzie szukać świadectw instynktu samozachowawczego? Skąd czerpać nadzieję na przetrwanie? Te pytania wyznaczały rangę problemową festiwalu. Z czterech formalnych możliwości odpowiedzi na takie zasadnicze kwestie — konkurs odbywał się w czterech równoległych konkurencjach: telewizyjny spektakl, telewizyjny dokument, radiowe słuchowisko i radiowy reportaż — wybrałem film dokumentalny jako tę formę prezentacji futurologicznych problemów, która jest najbardziej wiarygodna i miarodajna, ponieważ opisuje zwrócony w przyszłość konkret widziany obecnie.

Wrażenie generalne po obejrzeniu 42 filmów dokumentalnych było przygnębiające. Prezentowane reportaże można podzielić na dwie podstawowe grupy. Filmy należące do pierwszej z nich z niezachwianie dobrym samopoczuciem i z nie zmąconym żadnymi wątpliwościami optymizmem ukazywały zwycięską ekspansję nowych technologii, eksplorację nowych bogactw mineralnych, podbój kosmosu, czy też nowe sukcesy genetyki. Natomiast odwrotna strona tego medalu ujawniała się w dokumentach, które mówiły o symptomach katastrofy ekologicznej, deformacjach fizycznych i psychicznych życia ludzkiego, pogłębiających się w kontrastach społeczno-ekonomicznych w skali całego globu, a także o skutkach minionej wojny i o groźbie nowego konfliktu. Uderzający był nieomal całkowity brak filmów, które wskazywałyby drogi wyjścia z tego morderczego sprzężenia współczesnej cywilizacji, sprzężenia pomiędzy rozwojem techniki, a jego ahumanistycznymi w ostatecznym rachunku rezultatami. Wydawać by się mogło, że temat festiwalu zgromadzi filmy dokumentujące inicjatywy i pomysły, które zaświadczą o próbach nowego stylu myślenia o przyszłości, i które pokażą ludzi walczących o humanizację świata. Między iluzją a horrorem — tak można by określić w skrócie telewizyjny stosunek do tego, co stanie się jutro.

Iluzją bowiem jest

KRÓTKOWZROCZNA WIARA

w kolejną rewolucję technologiczną, której efektami zachłystywało się aż pięć filmów w konkursie. Chodzi o ostatnie osiągnięcia w zakresie informatyki, o nowe generacje miniaturowych komputerów, o najnowsze mikroinstrumenty do przetwarzania informacji. *„Maleństwa zmieniają świat"* — tak zatytułował swój film o komputerach *Dieter Balkhausen* (RFN). Dokumenty te — a można tu jeszcze wyliczyć kanadyjskie *„Implikacje" Sheldona Greenberga*, belgijski *„Poranek informatyków" Luc Riveta* i *Jeana Brismée*, brytyjskie *„Introwertywne społeczeństwo" Lawrence'a Moore* oraz najbardziej pomysłowy i najstaranniej udokumentowany reportaż Anglika *Anthony Smitha „Good-bye Gutenberg"* — ukazywały nowe sposoby gromadzenia informacji oraz postępujące procesy automatyzacji pracy w przemyśle, w biurokracji i w gospodarstwie domowym. Natomiast całkowicie zapomniały o możliwościach ograniczenia sfery prywatnej człowieka aż do jego całkowitego zniewolenia, jaką dają te elektroniczne „maleństwa" w systemach totalitarnych, a także o ich negatywnym, bo emocjonalnie pustoszącym wpływie na psychikę jednostki. Kiedy oglądałem tę telewizyjną wystawę nowości przemysłu elektronicznego, przypomniała mi się anegdota o rozmowie pomiędzy Amerykaninem a Hindusem. Amerykanin chwali się: *Mój nowy samochód pozwoli mi skrócić drogę przejazdu z pracy do domu o pięć minut.* Hindus na to: *I co pan robi z tymi pięcioma minutami?* Właśnie!

Na marginesie słowo o polskich problemach:

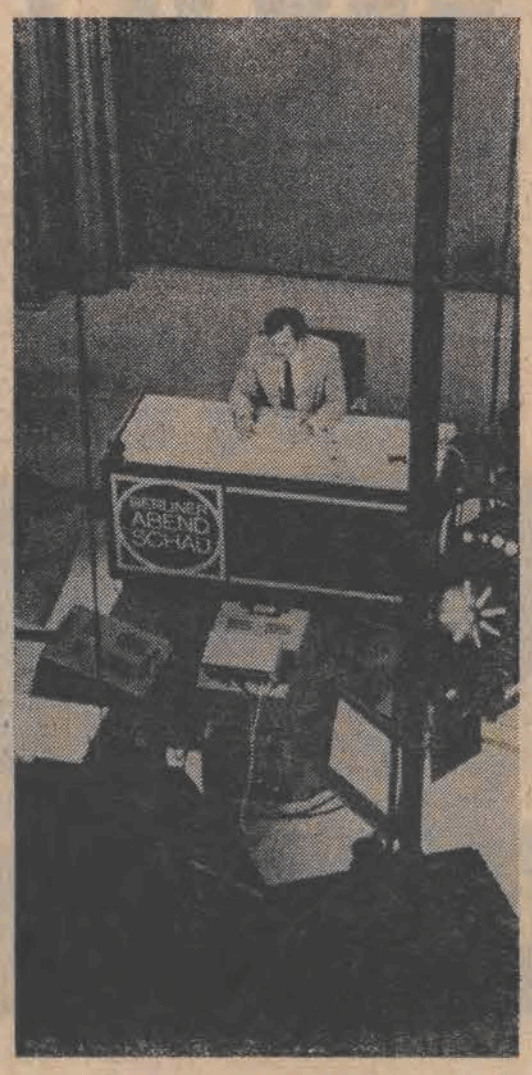

myślę, że nasza spartaczona, pożal się Boże, rewolucja industrialna minionej dekady, może stać się dla nas pouczającym doświadczeniem cywilizacyjnym, które podpowie nam bardziej humanitarną, ponieważ pozbawioną technologicznego fetyszyzmu wizję rozwoju społeczeństwa. Nie nawołuję, rzecz jasna, do tego, abyśmy się stali pariasami, bo już nimi jesteśmy, ale do namysłu nad szansą stworzenia z ubóstwa sensownej filozofii życiowej, która „być" przedkłada nad „mieć". Ale czy w dzisiejszym świecie można być, nie mając?

Były też filmy, które budziły pewną nadzieję, gdyż pojawiała się w nich

INNA ALTERNATYWA

dla technicznej inwencji, nie zakłócająca porządku natury, lecz wykorzystująca go dla ludzkich celów. Chodzi o ten trend myślenia futurologicznego, który na Zachodzie jest nazywany *soft technology*, czyli *łagodną techniką*. W filmie „Dwa domy słoneczne" (Belgia) Michel Lemeret pokazał dwa eksperymentalne systemy uzyskiwania energii słonecznej wykorzystanej do uzyskiwania ciepłej wody i ogrzewania. Podobny temat podejmował reportaż *„Elektryczny staw: słoneczne rozwiązanie" Williama Skane*, gdzie tego rodzaju eksperymenty zyskują przemysłową skalę.

Jedynym filmem, który przywracał utraconą wiarę w możliwości harmonijnego i pełnego ekspresji rozwoju ludzkiej osobowości w dzisiejszych czasach, był dokument *Wolfganga Eberta* z RFN pt. *„Wybudowane marzenia"*. Film opowiada o młodych Amerykanach, którzy opuszczają pełne *„wściekłości i wrzasku"* metropolie, przenoszą się na wieś, aby w malowniczych krajobrazach budować własnymi rękami domy o kształtach imitujących formy organiczne (np. kryształu) i w ich fantazyjnie oryginalnych wnętrzach oddawać się mistycznym kontemplacjom. Jest to film o wyzwoleniu wyobraźni i o duchowych potrzebach człowieka, które są zaspokajane poprzez natchnienie. Autorealizacja poprzez sztukę, a architektura bywa nazywana „matką wszystkich sztuk", staje się tutaj drogą poszukiwania i znajdowania nowych, alternatywnych wzorów ludzkiej egzystencji w przyszłości. Bowiem sztuka jest najbardziej charakterystyczną oznaką sytuacji człowieka w świecie.

I jeśli dzisiaj tak często mówimy o kulcie tradycji, o odradzaniu się postaw konserwatywnych, o wzrastającym zainteresowaniu historią, o renesansie idealizmu, o wszelkich tendencjach retro, czy modzie na secesję, słowem — o generalnym, a ujawnionym przede wszystkim w sztuce naszej epoki zwrocie zbiorowej świadomości w przeszłość to kryje się w tej diagnozie pewien paradoks, który najlepiej wyraża świadomość rozdroża na jakim znalazła się nasza cywilizacja u schyłku wieku i ostatnich minut tysiąclecia. Albowiem z jednej strony fascynacja tym, co było jest świadectwem naszej ucieczki od przyszłości, dowodem dezorientacji i zagubienia w żywiole teraźniejszej rzeczywistości, z drugiej zaś jest w tej z pozoru konserwatywnej postawie żarliwe pragnienie nowego paradygmatu, który zmieni linearną koncepcję rozwoju historii jako katastroficznego postępu na rzecz trwania, aby przetrwać. Wyjątkową wartością *„Wybudowanych marzeń"* na tle dość bezmyślnej telewizyjnej produkcji, było inspirowanie tego rodzaju, tylko z pozoru oderwanych od praktycznego życia, refleksji. Realizatorzy tego reportażu przekonują się, że można i trzeba już dzisiaj spróbować żyć inaczej i doprawdy nie jest ważne, iż wybrany przez młodych entuzjastów modus vivendi ma charakter ekskluzywny czy nawet utopijny, ponieważ nie jest to recepta dla wszystkich. Jest to przykład szukania nowej formuły życia, a takich przykładów różniących się od siebie winno być jak najwięcej. Bowiem nowe społeczeństwo będzie miało charakter pluralistyczny, albo go wcale nie będzie.

Naturalną konsekwencją cywilizacji przemysłowej są

KATASTROFY EKOLOGICZNE.

Na różnych przykładach mówiły o nich trzy filmy: holenderski *„Dowód prawdy" Harry Duynsa*, *„S.O.S. Harrisburg"* Szweda *Petera Berggrena* oraz amerykańska *„Wielka wojna kontenerowa" Richarda Hammerstroma*. Najciekawszy z nich *„Dowód prawdy"* to udramatyzowana relacja dokumentalna ze śledztwa, jakie przeprowadził realizator reportażu w sprawie śmierci chłopca, który zmarł na raka. Przyczyną choroby była zabawa radioaktywnymi odpadkami, którymi zaśmiecała otoczenie na poły legalnie pracująca fabryka. Istotną wartością tego dokumentu była nie tylko demaskacja kryminalnych skutków działalności tej firmy, ale również zwrócenie uwagi na możliwość etycznej kontroli, jaką winny sprawować we współczesnym społeczeństwie mass-media. *„S.O.S. Harrisburg"* wraca do głośnej afery związanej z awarią reaktora atomowego w Pensylwanii, czyli do tzw. chińskiego syndromu. Szwedzi są szczególnie wyczuleni na tę problematykę, która ich zdaniem i słusznie — winna być poddana kontroli jak najszerszej opinii publicznej, czego dowodem niedawne referendum w Szwecji w sprawie budowy elektrowni atomowych. Niestety, zbytni pietyzm, z jakim podeszli do paradokumentalnej rekonstrukcji tego faktu, przyniósł obraz nużący, przegadany i przeładowany zbędnymi szczegółami. *„Wielka wojna kontenerowa"* to film o jednym z głównych zmartwień współczesnej Ameryki. Walka z plagą plastykowych opakowań wytwarzanych w astronomicznych ilościach przez przemysł spożywczy trwa od przeszło dwudziestu pięciu lat, ale jej efekty są nader nikłe.

Czy szansą ucieczki człowieka z zatrutej Ziemi może stać się

KOSMOS?

Filmy na temat technicznych metod penetracji planetarnych przestrzeni pokazali twórcy z ZSRR *(„Kosmos: problemy, perspektywy, marzenia" Wiktora Skworcewa)* i Włosi *(„Wymiar wertykalny" Piero Angeli)*. Oba filmy mieściły się jednak na marginesie przeglądu — nie tylko dlatego, że ignorowały istotną kwestię ceny, jaką płaci społeczeństwo za realizację tego typu strategii, nic w zamian nie zyskując, ale również z tego powodu, że w myśleniu futurologicznym problematyka kosmiczna wyraźnie zdewaluowała się w obliczu narastających „przyziemnych" kłopotów. Doszło natomiast do symptomatycznego przesunięcia akcentów: większe zainteresowanie od naszej wizyty w kosmosie budzi wizyta kosmosu u nas. Zainteresowanie to jest przy tym wyraźnie zabarwione mieszanymi uczuciami lęku i metafizycznej nadziei, że niebiańscy wysłannicy pozaziemskich cywilizacji wybawią nas od bałaganu, jakiego tutaj na Ziemi narobiliśmy. Reportaż o badaniach dotyczących możliwości nawiązania kontaktu z kosmitami pokazała telewizja NRD *(„Halo, sąsiedzi we wszechświecie?" Ernsta Hanscha)*. W tej kategorii hipotez znalazły się również i nasze złudzenia. Dokument pt. *„Peryferie wszechświata"* o pojawieniu się UFO w sierpniu na Wybrzeżu i reakcjach społeczeństwa na to wydarzenie zrealizowała Anna Brzozowska. Było to w 1979 roku.

Przyszłość czai się nie tylko w kosmosie, ale również

W MIKROKOSMOSIE.

Pojawia się tylko pytanie: jaka? Genetycznym manipulacjom były poświęcone dwa filmy: holenderski *„Trick" Henka Mochela* i francuska *„Synchronizacja narodzin" Jeana Berna*. Holendrzy pokazali problem dzięki dość pomysłowej inscenizacji kongresu prestigitatorów, w trakcie którego wśród uczestników szaleją zarazki, co wywołuje cały ciąg genetycznych perypetii, zaś dowcipni Francuzi przedstawili genetyczny eksperyment na owcach umożliwiający w całym stadzie synchronizację narodzin właśnie. Oba filmy niby zdawały sobie sprawę z niepokojącej dwuznaczności konsekwencji dla człowieka tych genetycznych doświadczeń, w których prawdopodobieństwo nieobliczalnej tragedii jest znacznie wyższe od ewentualnych dobrodziejstw, ale zbyt słabo akcentowały tę podstawową wątpliwość. Komentarzem do tego typu badań naukowych była NRD-owska animacja pt. *„Kiedy urosną jeże"* ukazująca w metaforycznej formie absurdalne wynaturzenia współczesnej nauki. Była to nieco przyciężkawo narysowana historyjka o jeżach, które wyginęły w wyniku rozwoju cywilizacji, ponieważ plątały się pod kołami samochodów, wobec czego uczeni wyhodowali jeża-giganta o stalowych kolcach, odpornego na samochodowe kolizje, o którego z kolei zaczęły się rozbijać samochody. Przestroga dla przyszłości płynąca z tej grupy filmów może być tylko jedna: człowiek współczesny nie powinien robić wszystkiego, co potrafi, ponieważ może to się zwrócić przeciwko niemu.

Wyraźnie nie docenionym tematem w stosunku do jego obiektywnej wagi w ramach tego futurologicznego festiwalu był

TRZECI ŚWIAT.

Filmy, podejmujące problemy cywilizacyjnej emancypacji narodów Azji, Afryki czy Ameryki Południowej, wahały się między prowincjonalnym partykularyzmem, jeśli były zrealizowane przez autochtonów, a anglocentrycznym, nacechowanym filantropijnym protekcjonizmem punktem widzenia, kiedy pochodziły z Pierwszego Świata. Na przykład w kanadyjskiej *„Refleksji na temat małej planety"*, realizator *Pierre Charlebois* rozważa ustami sześciu nędzarzy z różnych krajów Trzeciego Świata problemy głodu, neokolonialnego wyzysku, przeludnienia, stosunku Północy do Południa, jednakże z tej refleksji oprócz szlachetnego współczucia niewiele dobrego wyniknie dla poprawy ich losu, ponieważ jej adres jest nadto ogólnikowy. Natomiast godnym uwagi dokumentem był film amerykański *„Doktorzy z Nigerii" Barbary Gullahorn-Holecek*, ponieważ problemy współpracy pomiędzy białą i czarną medycyną w ramach wspólnej realizacji programu Światowej Organizacji Zdrowia przedstawił bez poczucia wyższości, a wręcz przeciwnie — wskazał w tradycjach afrykańskiej wiedzy ludowej wartości inspirujące. Podobnie obiektywne intencje charakteryzowały szwajcarski reportaż o odkryciu ropy naftowej w Meksyku. *„Mexico: Que viva el petroleo!"* to obraz społeczeństwa zawieszonego w czasie pomiędzy odległą, starożytną historią a nieznaną przyszłością, społeczeństwa, które szczęśliwy los postawił w obliczu tak bardzo potrzebnego współczesnemu światu bogactwa. Co zmieni w życiu meksykańskich chłopów to petrodolarowe Eldorado warte dzisiaj więcej niż złoto Cortesa? Realizator pragnął ukazać na tle tego nieoczekiwanego odkrycia zarówno ich nadzieje jak i obawy utraty niezależności. Wydaje się jednak, że wymienione filmy nie wyczerpują problemu rosnącego znaczenia Trzeciego Świata w globalnym wymiarze i stosunkowo niewielki udział tej tematyki w konkursie oraz brak pozycji ważkich można wyjaśnić niskim poziomem telewizji w tych okolicach geograficznych.

Paradoks przeglądu telewizyjnych dokumentów poświęconych przyszłości polegał na tym, że dwa najciekawsze, ex aequo nagrodzone Prix Futura utwory mówiły o przeszłości. Ich tematem była

WOJNA

i pozostawione przez nią fizyczne i psychiczne rany. Ostatnia wojna była kataklizmem wielkich liczb, masowej, anonimowej hekatomby, w której zbiorowym grobie zatracały się indywidualne tragedie. Oba filmy przynosiły dramatyczne portrety pojedynczych ofiar totalnej zagłady spowodowanej w jednym przypadku przez potworną technikę, w drugim zaś przez zbrodniczą ideologię. Japoński film *„Mamo, mogę cię słyszeć: dziecko wojny atomowej" Kyoko Isono* opowiada historię matki i córki. Yuriko jest dzieckiem urodzonym po wybuchu jądrowym w Hiroshimie, dotknięta skutkami choroby popromiennej cierpi na mikrocefalię. Bez opieki matki nie jest zdolna do życia. Ale matka z tego samego powodu choruje na raka kości, umiera i córka pozostaje sama, pozbawiona jakiejkolwiek pomocy, przy całkowitej obojętności czynników oficjalnych. Ten prosty, powściągliwy, wolny od pokus sentymentalizmu film był wstrząsającym opisem oceanu ludzkiego cierpienia, a zarazem surowym epitafium zaadresowanym do potomnych.

Podobne przesłanie zawierał film angielski *„Kity wraca do Auschwitz" Petera Morleya*, który był oparty na zaskakująco prostym pomyśle. Realizator namówił tytułową bohaterkę, Żydówkę polskiego pochodzenia, która w młodości przeżyła Oświęcim, do podróży na teren obozu wraz z synem, aby jemu i nam opowiedzieć o swoich przeżyciach. Powstał jedyny w swoim rodzaju dokumentalny, 70-minutowy monodram o niebywale intensywnym napięciu emocjonalnym, rozegrany maksymalnie prostymi środkami. Pięćdziesięcioletnia kobieta pod wpływem koszmaru wspomnień wywołanych obozową scenerią zapomina o obecności kamery. Jej twarz, jej głos, jej łzy. Obraz, którego nie sposób zapomnieć.

Konkurs Prix Futura zamknęła

METAFIZYCZNA POINTA

jaką okazał się film hiszpański *„Po drugiej stronie"*. Jego autor *Enrique Fernandez Porras* zajął się zilustrowaniem głośnej hipotezy na temat „życia po życiu", a więc przeprowadził wywiady z ludźmi, którzy przeżyli śmierć kliniczną i byli „jedną nogą na tamtym świecie". I mimo, iż to zagadnienie nie dotyczyło pragmatycznie pojmowanej przyszłości, to jednak owo dotknięcie metafizyki odsłoniło jeszcze jedno imię nadziei.

TERROR A PAŃSTWO

Europa żyje w atmosferze terroru. I nie tylko strzały oddane do papieża, czy śmierć ministra gospodarki Hesji, dowodzą, że w ostatnich latach uległ on szczególnemu nasileniu. Skierowany on jest podobno tylko przeciwko politykom, instytucjom państwa, a więc godzi przede wszystkim w podstawy struktury państwowości. Fakty jednak dowodzą, że w jego wyniku giną nie tylko przedstawiciele państwowego i politycznego aparatu, ale także setki niewinnych ludzi. Dowodzą tego podstępne wybuchy — o spektakularnym charakterze — w Paryżu, eksplozje w Londynie, Ulsterze, Mediolanie, Bolonii, Berlinie Zachodnim...

Zdaniem marksistowskiej nauki terroryzm pojawia się tam, gdzie zostają zachwiane warunki ekonomiczne. W dotychczasowej historii terroryzm dotyczyć więc mógł tylko społeczeństw burżuazyjnych. U podstaw tej nauki leży stwierdzenie, iż przemoc jest przede wszystkim produktem antagonistycznych stosunków klasowych i pełni decydującą rolę w mechanizmach konserwacji ustrojów opartych na prywatnej własności środków wytwarzania.

W RFN chadecy odpowiedzialnością za terroryzm obarczają ideologię marksistowską. Znowu we Włoszech chrześcijańska demokracja twierdzi, że terroryzm jest bezpośrednim rezultatem ekstremistycznych i destabilizujących poglądów szerzonych w ciągu lat za pośrednictwem masowego kolportowania marksizmu, nie najlepszej próby, przez Włoską Partię Komunistyczną w pierwszej fazie i przez grupy skrajnie lewicowe, w drugiej.

Ideolodzy marksistowscy znowu dowodzą, że w warunkach pogłębiającego się w niektórych krajach Europy kryzysu społeczno-politycznego terroryzm może przesądzić o całkowitym rozkładzie państwa. **Luciano Colletti**, filozof, **mówi: jeśli system polityczny nie będzie należycie funkcjonował, prawdopodobieństwo tego, że kraj pójdzie w rozsypkę, będzie niezwykle duże.**

Przyszłość niewątpliwie podda próbie obydwie teorie, jeśli jednak okażą się one prawdziwe — to skutki terroryzmu dotkną niemal całej Europy. Zjawisko terroryzmu rozszerzyło się bowiem w ostatnim czasie na kraje, które dotychczas w ogóle w historii z nim do czynienienia nie miały lub w małym stopniu. Mówi się nawet o **„przerażeniu ponad granicami"** (to z artykułu **Dietera Bügla** w „Die Zeit"), przy czym ci, którzy tak twierdzą, zastrzegają jednak sobie, że **„międzynarodówka terroru nie ma ani wspólnej ideologii ani centralnego kierownictwa".**

Źródeł terroryzmu historycy doszukują się w początkach obecnego tysiąclecia. „Fidai", bojownicy assasinów — założonej w 1090 roku w Persji przez **Hassana ibn al-Sabbaha** frakcji sekty izmailitów, powstałej z rozpadu szyizmu — byli postrachem całego Bliskiego Wschodu. Mordowali będących na świeczniku działaczy życia politycznego i społecznego, będących zagrożeniem sekty. Największy rezonans społeczny wzbudziło zamordowanie w 1092 r. wielkiego wezyra w państwie tureckich Seldżuków. Kres działalności assainów położył **Hulag** — wnuk **Czyngis-chana**, ale utrwaliło się za to słowo „assassin" — co znaczy dosłownie: skrytobójczy morderca polityczny.

Zdaniem polskiego naukowca **Longina Tadeusza Szmidta**, o pojawieniu się terroryzmu, a potem o jego okresowym nasilaniu się lub zanikaniu, zadecydowały w głównej mierze trzy czynniki o charakterze ekonomicznym. Pierwszy to rozpad klas i tworzenie się specyficznej grupy w każdej formacji społeczno-ekonomicznej, którą można by nazwać społeczną fazą terroryzmu. Charakteryzuje się ona inklinacją do stosowania terrorystycznych metod walki z przeciwnikami politycznymi. Grupa ta, zepchnięta z pozycji dawnej uprzywilejowanej klasy wyzyskiwaczy do roli nowo tworzącej się klasy wyzyskiwanych, broni się przed degradacją społeczną, uciekając się do terroryzmu.

Drugim czynnikiem jest nierównomierność rozwoju sił wytwórczych, która wpływa na tempo rozpadu dawnych klas społecznych, a tym samym na zwiększanie bądź zmniejszanie się społecznej bazy terroryzmu.

Trzecim czynnikiem jest wyzysk ekonomiczny grupy społecznej stanowiącej bazę terroryzmu przez warstwy lub klasy dominujące. Świadomość zagrożenia ekonomicznego rodzi potrzebę obrony jej interesów za wszelką cenę, nawet za pomocą terroru indywidualnego skierowanego przeciwko jego rzekomym sprawcom, tj. przeciwko aparatowi władzy i jego przedstawicielom.

Od czasów działalności assainów przez wiele następnych wieków używano terroru jako środka walki politycznej, lub prowokacji, zmierzającej do obalenia lub utrzymania chwiejącej się władzy. W wieku XIX znani ze spektakularnego charakteru czynów byli szczególnie rosyjscy narodnicy, którzy w swoim działaniu byli zdeterminowani, zdecydowani na wszystko. Charakter ich działalności pozwala domyślać się, że ich walka nie ma nic wspólnego ze środowiskami bandyckimi. Niektórzy przyjmują, że właśnie obecny model terroryzmu został odziedziczony po anarchizmie wieku dziewiętnastego. **Engels** pisał w 1888 roku w **„Teorii przemocy"**, że przemoc — mając na myśli terror — jest wyłącznie środkiem działania wobec celu, którym jest korzyść materialna. Przemoc w ręku państwa i wszystkie jej atrybuty są w gruncie rzeczy prawem udzielonym mu przez klasę panującą, lecz klasa panująca jest dysponentem pierwotnym, państwowo-wtórnym. Historia niewątpliwie tezę tę potwierdza.

Na początku XX wieku walka terrorystów przybrała najostrzejsze formy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w Europie zaś — szczególnie w Niemczech. W Republice Weimarskiej zmierzał on przede wszystkim do zatrzymania procesu rewolucyjnego. Dla przykładu w latach 1919—1923 zamordowanych zostało 354 działaczy lewicowych, w tym **Róża Luksemburg** i **Karl Liebknecht**. Zachodnioniemiecki publicysta **Sebastian Haffner** pisał w 1969 roku, że **„morderstwo z 15 stycznia 1919 roku było przygrywką — przygrywką do tysięcy morderstw dokonanych w następnych miesiącach epoki Noskego, do milion razy większych zbrodni w nadchodzących dziesięcioleciach epoki Hitlera"**. Państwo **Hitlera** samo aranżowało terrorystyczne zamachy dla usprawiedliwienia polityki rozprawiania się z wszelkimi elementami postępowymi, nie mówiąc już o komunistach. Każdy zamach na **Hitlera** czy **Göringa** — był przygrywką do setki i tysięcy morderstw dokonywanych przez grupy szturmowe SA i SS oraz policję na Żydach i ludziach o innych poglądach.

W tym okresie terror rozwinął się też w Polsce, jako środek zastraszenia i prowokacji politycznej. Celem ich byli nie tylko komuniści, ale także politycy wielu ugrupowań rządzących. W Polsce po II wojnie światowej miało miejsce wiele wypadków, które — pełne ujawnienie ich okoliczności być może by tego dowiodło — charakterem swym przypominało terror.

Tak więc współczesny terroryzm nie spadł nam z nieba.

Niewątpliwie anarchizm wieku XIX i współczesny terroryzm mają cechy wspólne, jakim jest cel: ludzie. Anarchizm z XIX wieku był zjawiskiem masowym, obecny terroryzm takiego zaplecza nie ma. **Janusz Stefanowicz** twierdzi, że terroryści są nie tylko znikomą mniejszością, ale faktycznie walczą o interesy mniejszości. Może on więc powstawać na zamówienie władzy, w której interesie leży podsycanie jej atmosfery — dla zabezpieczenia sobie działania radykalniejszymi środkami.

W marginesowości zaplecza społecznego leży więc geneza terroru i w ogóle przemocy. Takiego zdania jest też na przykład **Claude Julien**, znany publicysta paryskiego **„Le Monde"**, autor książki **„Samobójstwo demokracji"**. Pisze on także, że **„geneza przemocy jest skomplikowana, jej mechanizmy społecznie mało znane..."**

Terror rodzi się w społeczeństwie sklikowanym, w którym biorą górę układy koneksyjne, kumoterskie i elementy nepotyzmu. **Claude Julien** z całą stanowczością twierdzi, że rodzi się on wtedy, gdy ludzie mający władzę i potęgę wykorzystują władzę do obrony przywilejów i gdy nadużywają siły dla zamaskowania swych słabości. Oczywiście wszelkie przywileje uzasadnia się zawsze korzyściami, jakie odnosi nie garstka wybranych, ale całe społeczeństwo.

Terror powstaje tam, gdzie partia rządząca, lub wprost rząd, celowo rozmywa odpowiedzialność, ogranicza — także doprowadza do jego manipulacji — niezawisłość postępowania sądowego. Można powiedzieć, że zdaniem autora źródła przemocy tkwią głęboko w zjawiskach patologii społecznej: uprzywilejowania pewnych kategorii ludzi, wykorzystywania stanowisk, braku równości obywateli wobec prawa.

Claude Julien pisze: **„Na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej ludzie upojeni posiadaną władzą zachowują się jak policjanci, którzy** — jak pisze komisarz **Fernand Cathala** — **mają „aroganckie miny, mówią tonem autorytatywnym i ostrym, odznaczają się zarozumiałością i używają języka bliskiego wulgarności, co oczywiście źle usposabia do nich obywateli".** Rodzi się przemoc, gdy państwo osłania swym autorytetem **„przesłuchania z użyciem siły"** i wypadki fizycznej likwidacji ludzi, gdy naukowcy i społeczeństwa poświęcają talenty i zasoby na konstruowanie środków przemocy, wtedy dominujące w społeczeństwie siły same wytwarzają klimat przemocy. I wtedy nic już nie zapobiegnie reakcjom łańcuchowym, w myśl zasady: terror rodzi terror.

Podobnie socjolog **Jacques Favet** widzi źródło przemocy, której konsekwencją jest zastraszenie i terror psychiczny i fizyczny społeczeństwa. Twierdzi on, że źródło w niszczeniu więzów człowieka z naturalnymi wspólnotami stworzonymi na jego miarę. Dzisiejsze społeczeństwo odizolowało jednostkę w sztucznym środowisku i wszystkie stosunki przeobraża w stosunki siły. **„Tam gdzie mogłoby istnieć zrozumienie i ciepło** — pisze **— odnajdujemy tylko ignorancję, walkę i nienawiść. Aby się o tym przekonać wystarczy popatrzeć na dwa nadjeżdżające z przeciwnych kierunków samochody, na dwóch obywateli po dwu stronach bariery lub urzędowego okienka".**

Henry Kissinger znowu twierdził, że nowoczesne państwo biurokratyczne — mimo wszystkich rekwizytów potęgi — chwieje się z czasem w posadach z przyczyn pozornie banalnych. Jego kruchość i światowa rewolucja młodzieży... sugerują istnienie pustki duchowej i prawie metafizycznej nudy wobec otoczenia politycznego, które przyjmuje biurokratyczne wyzwania i poświęca się celowi tak płytkiemu, jak materialny komfort.

Polityka, który już go sobie zapewni, nie obchodzi interes państwa, ale prześladuje go myśl, jak zabezpieczyć posiadany majątek. Do czego musi wielokrotnie używać siły bezpieczeństwa państwa. — Jednostki na ogół przyzwyczajają się powoli do różnych form przymusu, stosowanych wobec nich — pisze **Claude Julien** — przez ośrodki władzy ekonomicznej, politycznej i policyjnej. Człowiek, podporządkowany tym stosunkom siły odkrywa własną słabość, nie widzi nic innego — prócz siły — sposobu wyzwolenia się. Nie jest jednak w stanie walczyć. Marzy o osiągnięciu takiej potęgi, która umożliwiłaby mu zerwanie krępujących więzów. Ludzie bardziej egzaltowani marzą o sile, dzięki której mogliby wyzwolić również społeczeństwo podlegające władzy pieniądza.

Przemoc rodzi więc terror, który jest reakcją łańcuchową. Bowiem „społeczeństwo nie lubi prawdy, która je zmusza do skonfrontowania wyznawanych zasad z metodami gwałcącymi ich ducha. Solidarność ma swoje granice."

— Uważam — mówił jeden z terrorystów, **Horst Mehler**, siedzący jeszcze w więzieniu — **że w terroryzmie widzieć trzeba odpowiedź na przytłaczający świat, który nas otacza, który jest nam wrogi, nad którym już nie panujemy i nie jesteśmy w stanie go kontrolować. Świat ten niszczy ludzi, niektórzy z nich zaś próbują się bronić zanim zostaną zniszczeni. Gdy sie nie wie, jak i dokąd przyjdzie nam maszerować, ani też z kim, prowadzi to nieraz do desperackich posunięć i dość beznadziejnych koncepcji. To jest w moim pojęciu podstawowa sprawa w terroryzmie.**

Mehler mówi o zniewoleniu ludzi. Społeczeństwo tylko przez pewien czas może je przyjmować z pokorą. Bowiem wydałoby na siebie wyrok — w chwili stania się tego zjawiskiem dotąd powszechnym — gdyby na nie nie zareagowało oczywiście tym, co by wszystkimi wstrząsnęło.

Terror jest niewątpliwie metodą zwrócenia na siebie uwagi, na problemy, które bezwzględnie czekają od zaraz na rozwiązanie. Jest sposobem i metodą zabezpieczenia swojej wolności.

Każda ideologia, tak w ustroju socjalistycznym, jak w kapitalistycznym, nie neguje wolności lub nawet nadaje jej sens absolutny. Każda z nich jednak ukazuje różne drogi do tej wolności i różnie uzasadnia jej przejawy i granice, przede wszystkim granice.

Granice wolności człowieka w każdym państwie zabezpiecza istniejąca władza. Ma ona na swoich usługach olbrzymi aparat policyjny. Społeczeństwo w każdym państwie domaga się poddania kontroli społecznej, szerokiej działalności policji. Gdy policja nie jest poddana takiej kontroli — krew w tym państwie leje się częściej niż gdzie indziej, głos uciskanych jest jednak cichszy. Brak stworzenia takiej kontroli w chwili powstania lub tworzenia się nowej państwowości ma charakter czasami nieodwracalny. Władza nie dąży do tego, żeby takiej kontroli ją poddać, a nawet gdy rządy są naprawdę demokratyczne, to na stworzenie kontroli nie pozwala na to sama policja, która o osobach będących władzy wie wszystko. **„Siła państwa** — pisze **Claude Julien — jest jednak bardziej pozorna niż rzeczywista: waha się ono przed stawieniem czoła siłom porządku i ich szefom. Dlaczego zresztą miałoby to czynić, skoro społeczeństwo, z wyjątkiem garstki obywateli, swoim milczeniem aprobuje czyny, które kiedyś obrócą się przeciw niemu".**

Na milczeniu społeczeństwa buduje się całą machinę kłamstwa. **Pierre Vidal-Naquet** twierdzi, że począwszy od policjanta, który torturował, i sędziego akceptującego wyniki wymuszonego przesłuchania, aż po premiera, który kłamał lub milczał, zbudowano po trochu całą machinę kłamstwa.

Bezpośrednią reakcją na rozszerzenie się zjawiska terroryzmu jest rozbudowa aparatu policyjnego. **„Jeśli ktoś chce skutecznie bronić praworządności państwa, musi być przygotowany na to, żeby pójść aż do samej granicy tego, na co mu praworządne państwo zezwala, co mu daje do dyspozycji"** — mówił **Helmut Schmidt** w Bundestagu.

Często atmosferę terroru i niepokoju społecznego podsyca sama władza, w celu uzyskania dla policji dodatkowych środków z budżetu państwa (wydatki na przykład Federalnego Urzędu Kryminalnego wzrosły z 22,4 mln marek w 1969 r. do 172,7 mln marek w roku 1977), a także w celu rozszerzenia wyjątkowych pełnomocnictw — oczywiście społecznie nie kontrolowanych, które by formalno-prawnie sankcjonowały częstą brutalność wobec ludzi. Terror rodzi terror policji. Przykładem są tu rozruchy studenckie w 1968 roku na Zachodzie. Po aktach terroru w latach siedemdziesiątych, kiedy policja uzyskane uprawnienia skrzętnie wykorzystywała nie tylko wobec tzw. elementów radykalnych, ale także wobec członków organizacji lewicowych i komunistycznych. W okresie największego nasilenia się terroru — w lutym 1974 r. — pod takim pretekstem policja dokonywała demolowania siedzib tych organizacji i pobicia ich członków. W Republice Federalnej Niemiec po wprowadzeniu ustawy (punktem zwrotnym na przykład w RFN-owskim ustawodawstwie antyterrorystycznym było zabójstwo **Hansa Martina Schleyera**) o elementach radykalnych, wyrzucono na bruk z urzędów publicznych wielu uczciwych ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z radykałami, tym bardziej z terrorystami, ale za to byli uważani za ludzi o poglądach lewicujących.

„W związku i landach rozpoczęło się zbrojenie przeciw wolności — pisał zachodnioniemiecki tygodnik **„Stern". — Socjaldemokraci znajdujący się nie od dziś pod naciskiem stałego usprawiedliwiania się, nie stawiali skutecznego oporu — przeciwnie: z chwilą przejęcia władzy związkowej przez Helmuta Schmidta, byłego hamburskiego senatora do spraw wewnętrznych, myślenie kategoriami „Law and Order" (Prawo i Porządek) stało się obowiązkiem służbowym. Na próżno Heinrich Böll, laureat Nagrody Nobla, upominał, iż „Wolność i demokracja są powoli duszone w imię wolności i demokracji".**

W ramach zbiorowego pojęcia „ustawy antyterrorystycznej" w samym tylko roku 1977 Bundestag uchwalił 15 ustaw, które ograniczają prawa obrońców i oskarżonych. Zadaniem niektórych z tych ustaw jest regulowanie przyzwyczajeń czytelniczych dorosłych ludzi i umacnianie siły policji ze szkodą swobód jednostki. Liberalny prawnik Rudolf Wassermann, prezes sądu z Brunszwiku określił ustawy jako „mniej więcej zbędne ustawy uspokajające". Zbędne bowiem i niepożyteczne są one przede wszystkim przy zwalczaniu terroryzmu. Niebezpieczne stają się dla pojedynczych obywateli, którym daleko do tego, by mieć coś wspólnego z terrorystami, ale którzy pozwalają sobie na niezgodne polityczne przekonania. Tutaj zaczynają działać mechanizmy kontroli i zastraszania" — kończy **„Stern".**

Przywódca CDU **Helmut Kohl** nazwał **„Solidarnością w działaniu"**, pośpiech z jakim organizowano akcje antyterrorystyczne, które mogły zwrócić się przeciw każdemu obywatelowi.

Federalny Urząd Kryminalny wypełniając tylko ogólne wskazówki kanclerza uruchomił różne komputerowe systemy zbierania informacji. Komputer np. NODIS, mieszczący się w Urzędzie Federalnym stwarzał możliwości przyłączenia do niego:

— central zbierania informacji na wyższych uczelniach, gdzie sporządzone są informacje, jak jaki student uczęszczał, na jakie wykłady i ćwiczenia,

— komunalnych i należących do landów urządzeń EDU, które zdolne są zebrać do 400 osobistych informacji o każdym obywatelu, począwszy od nazwiska i daty urodzenia oraz wyznania aż do zapytania, czy jest rozwiedziony.

— indywidualnych zbiornic informacji w landach dotyczących szkolnictwa na temat nauczycieli i uczniów, gdzie gromadzone są zarówno informacje o stopniach na świadectwach jak i wyniki testów psychologicznych, należą do nich również szkolne zbiornice informacji wprowadzone w Hamburgu oraz w Nadrenii-Westfalii, które obsługują także urzędy do spraw zastępczej służby wojskowej jak i urzędy zdrowia,

— urządzenia EDV działów kadr służby publicznej,

— komputery bibliotek państwowych i uniwersyteckich, które za naciśnięciem guzika udzielają informacji o przyzwyczajeniach czytelniczych setek tysięcy osób.

Powszechnie wiadomo, że w państwach mniej nowoczesnych komputerową technikę zastępuje się najczęściej dużymi gmachami z potężnymi archiwami oraz większą liczbą agentów, inwigilujących środowiska stanowiących społeczne zagrożenie. Wiadomo także, że koncentracja sił i środków na tym polu następuje po każdym większym konflikcie społecznym w danym państwie.

„Stern" pisze, że bezbronny obywatel jest tym samym wydany na łup państwowej samowoli — obojętne czy idzie tu o szpiegujących wywiadowców czy o bijących policjantów. 14 września 1977 roku podczas dozwolonej demonstracji przeciwko budowie siłowni atomowej w Kalkar, na moście na Renie w Reese policja wyrwała z grupy przechodniów pewnego młodego człowieka, który chciał fotografować brutalną interwencję policji, pobiła go i wyciągnęła mu film z aparatu. W maju następnego roku rząd krajowy w Düsseldorfie stwierdził, że w **„pewnych okolicznościach fotografowanie interweniującej policji może być zakłóceniem bezpieczeństwa publicznego, a tym samym może pociągnąć za sobą wkroczenie policji".**

Jeszcze w 1970 roku tygodnik **„Time"** pisał o ogromnych korzyściach, jakie przyniosłoby zgromadzenie w jednym ośrodku elektronicznym wszystkich informacji o każdym obywatelu, posiadanych przez szkoły, szpitale, sądy, towarzystwa ubezpieczeniowe, banki, administrację cywilną i wojskową. Zastrzegł jednak, że byłoby to największym zagrożeniem praw jednostki, jakie kiedykolwiek istniało. **„Co prawda różne ustawy zaczynają ograniczać wykorzystywanie nagrań i podsłuchu telefonicznego** — pisał **— ale nowoczesna technika zapewnia rządowi coraz delikatniejsze i subtelniejsze środki kontroli". „Rozmowy telefoniczne zwłaszcza rozmowy prowadzone przez polityków i dziennikarzy, są coraz częściej podsłuchiwane"** — alarmował w 1971 r. we Francji **Michel Poniatowski** w liście do premiera.

„Stern" w innym miejscu komentuje, że terroryzm wypełnił poważną lukę i tym samym usprawiedliwił walkę obronną przeciwko wszystkiemu co stoi po lewej stronie, tym samym został ustanowiony związek pomiędzy lewicowcami, lewicowymi ekstremistami i kryminalistami. W ten sposób usprawiedliwiono wzmożenie wewnątrzpaństwowego aparatu przemocy, który w rzeczywistości stał się aparatem terroru społeczeństwa. Nie tylko w nowych ustawach, ale i w uzbrojeniu policji osiągnięto tymczasem rozmiary, które nie służą zamierzonej walce z terroryzmem, lecz kontroli i uciskowi obywateli, którzy mają inne poglądy, ale nie są jeszcze wskutek tego kryminalistami.

Zamierzone wprowadzenie nowego jednolitego prawa policyjnego — profesor prawa karnego skomentował jako **„niebezpieczne obniżenie progu hamowania". Wassermann**, prezes sądu w Brunszwiku nazwał zaś to **„wprowadzeniem śmierci kuchennymi drzwiami".**

Dlatego Niemiecka Partia Komunistyczna zaczęła ostrzegać przed wykorzystaniem walki z terroryzmem do likwidacji kolejnych demokratycznych praw. Odwrócenie uwagi od palących spraw kraju godzi w samą demokrację, grożąc jej uśmierceniem.

Opracował:
WACŁAW OPACKI

DWIE GLOSSY

Odbyta niedawno sesja Łódzkiej Rady Miejskiej, poświęcona stanowi kultury w naszym mieście, wywołała szereg artykułów zarówno w naszym tygodniku jak i w pozostałej łódzkiej prasie. W związku z tym warto może przypomnieć, że w połowie 1979 roku redakcja *„Kultury"* rozpisała ankietę pod hasłem: *„Stolica — jak służy?"* Uczestnicy ankiety mieli odpowiedzieć zwłaszcza na takie pytania: jak stolica wypełnia swą rolę w sferze kultury wobec reszty kraju? Jak wypełnia swe obowiązki, jaki użytek robi ze swych stołecznych przywilejów?

Przesyłając wówczas swoją skromną odpowiedź na tę ankietę, pisałem w piśmie przewodnim tak: *„przesyłam odpowiedź p.t. „Komu klaszczą w terenie?" Jest po wielu (moich własnych) skreśleniach i — jeśli to możliwe — proszę uprzejmie nie komprymować jej już więcej".*

Wypowiedź moja ukazała się w *„Kulturze"* z 30 września 1979 r. niestety — nie tylko bez tytułu, którym ją opatrzyłem, a który w myśl prawa autorskiego stanowi część dzieła, chronionego tymże prawem, ale także właśnie z pominięciem paru ustępów, które w moim zamyśle i przekonaniu były punktem wyjściowym do całej wypowiedzi.

Wiele dzisiejszych publikacji opatrują autorzy lub redakcje informacją, że publikacje te powstały dawniej, a nie mogły się ukazać *„z przyczyn niezależnych"*. Również w szufladzie Ćwieka znalazłoby się kilkanaście felietonów, do których pasowałaby taka informacja, co oczywiście nie przesądza wcale o ich słuszności i aktualności. Ale zdania, pominięte wówczas przez *„Kulturę"* w mojej ankietowej wypowiedzi, podtrzymuję bez zmiany także dzisiaj i w związku z dyskusją o sytuacji kultury w Łodzi mam ochotę ponownie podjąć probę ich prezentacji. Oto dosłownie tamte zdyskryminowane fragmenty:

„Kultura naszego społeczeństwa jest kulturą typu „odgórnego", nie wyrasta z najgłębszych autentycznych treści ludowych, żeby wznosić się coraz wyżej, sublimować coraz bardziej — aż ku najwyższym szczytom, lecz przeciwnie — spływa wraz z kochanymi a niezbędnymi pieniędzmi z tych szczytowych rejonów w dół, po szczeblach i szczebelkach umasowienia i coraz płytszej popularyzacji. Spływa tak samo jak władza i równoległymi do niej kanałami. Sprzężenie zwrotne jest bardzo silne: władza przydaje mocy poczynaniom kulturalnym, zaś infrastruktura kulturalna jest cenną i docenianą oprawą wszystkich ośrodków dyspozycyjnych. A czyż stolica nie jest najsilniejszym ośrodkiem dyspozycyjnym?"

„To przecież w stolicy robi się politykę kulturalną i nie można nie nadsłuchiwać, jakie stamtąd wieją zefiry; nie, bo wszystko co warszawskie nosi nieznany w innych krajach charyzmat opiniotwórczy, obowiązujący na targowisku próżności".

* * *

Jeszcze druga migawka z terenu — chyba — kultury. Sam jestem kinomanem i obejrzenie jednego dobrego filmu w kinie cenię sobie wyżej niż dziesięć filmów w telewzji. Bardzo boleję nad drastycznym zredukowaniem repertuaru naszych kin, a zwiaszcza nad prawie całkowitym zaniechaniem importu wartościowych filmów zachodnich. Ale przecież nie mógłbym podpisać się pod propozycją naprawy tej sytuacji, zaprezentowaną przez Jerzego Pawlasa w n-rze 16 *„Perspektyw"*. Pawlas pisze tak: *„Korzystających z kin jest w Polsce blisko 100 milionów, zaś korzystających z samochodów osobowych szacuje się na 5 milionów (właściciele samochodów i ich rodziny). Jeśli nawet ci korzystający z kin nie mają racji, by uszczuplić pulę dewizową na import ropy, to przecież jest ich więcej, a ze zdaniem większości trzeba się niestety liczyć".*

Pawlas mianowicie radzi zmniejszyć import ropy, a powiększyć import filmów. Myślę, że w szlachetnych, a rewelacyjnych pomysłach naprawy Rzeczypospolitej, nie należy zapędzać się w tak naiwne i bałamutne okolice myślenia. Mówię tu o jednym przykładzie, ale spotykam tego multum w całej prasie. Podana przez Pawlasa liczba stu milionów to nie liczba kinomanów, tylko sprzedanych biletów, czyli wynik mnożenia osób przez ilość wizyt w kinie. Jeśli to ma być porównywalne z samochodziarzami, to należałoby analogicznie pomnożyć liczbę osób jeżdżących przez liczbę wyjazdów albo przez liczbę przejechanych kilometrów, a wtedy będzie nie 5 milionów, tylko parę miliardów. *„Jeśli nawet nie mają racji, ale jest ich więcej* — jak powiada Pawlas — *a z większością trzeba się liczyć".*

Liczyć się to może i trzeba, ale nie padać od razu plackiem przed każdą większością, nawet jeśli *„nie ma racji"*. A w ogóle to łatwo przecież wykazać, ile razy samochód decyduje o życiu i śmierci, o zdrowiu, o tysiącu istotnych spraw ludzkich, czego nie można powiedzieć o kinie. Lepiej czasem nie stroić min proroka i naprawiacza, bo mogą z tego wyjść bardzo śmieszne grymasy.

ĆWIEK

SKĄD SIĘ TO BIERZE?

Kochamy wszyscy ład i porządek i chcemy żyć w bezpieczeństwie, a tu jak na złość robi się coraz niebezpieczniej. Zdobycie butelki wódki stało się sztuką, a mimo to pijaków łażących po ulicach i rozrabiających jakby coraz więcej. Także na stadionach sportowych. A trzeźwa publiczność bije brawo milicji, kiedy ta wprowadza porządek. Poplątało się wszystko, pomieszało. Potem na łamach prasy, w radio i telewizji toczy się spór o to, czyi byli chuligani: miejscowi, czy przyjezdni?

Chuligaństwo, pijaństwo, rozboje nie są czymś nowym, co się nagle objawiło w roku 1981. Awantury na stadionach również. Można biadać nad tym, że służby porządkowe stały się słabsze, utraciły autorytet, siłę i możliwości działania. Utraciły społeczną aprobatą. Tylko, że incydent z chuliganami na stadionie RTS Widzew jakby temu przeczył. Kiedy milicja wystąpiła zgodnie ze społecznym interesem, szybko zyskała społeczną aprobatę.

Narzekanie na to, że służby porządkowe tracą autorytet i moc działania, jest jednostronnym widzeniem rzeczywistości. Mówi się, że przecież można było już od Warszawy pilotować pociąg zdążający do Łodzi. Uprzedzić łódzką milicję — a ta obstawiłaby wagon pełen chuliganów jadących z Warszawy do Łodzi na gościnne występy i tu wygarnęłaby ich wszystkich ładnie, do innego wagonu załadowała i do Warszawy cofnęła. Można było. Tylko, że wówczas w każdą niedzielę, sobotę czy środę, kiedy gra pierwsza liga, trzeba byłoby patrolować szosy, pociągi i autobusy. Nie jestem przekonana, czy to dałoby pożądane rezultaty. To znaczy, czy w taki sposób można byłoby zlikwidować przyczyny zjawiska.

Czytam gazety, słucham radia i groza mnie ogarnia. Spór toczy się nie o przyczyny, a o skutki. Spór toczy się o to, czyi byli chuligani i czy — jak to napisano w tygodniku „Piłka Nożna" — akcja łódzkiej milicji była przeprowadzona we właściwym miejscu, to znaczy na płycie boiska, gdzie pałowano każdego, kogo popadło, w tym dziewczyny i porządkowych Widzewa, a — jak dalej dowodzi „Piłka Nożna" — tam właśnie na płycie ludzie szukali schronienia. Kto przed kim — tego J.L. w „Piłce Nożnej" nie wyjaśnia. W radio natomiast powiedziano wyraźnie, że biedni kibice Legii uciekali na płytę boiska przed... kibicami Widzewa. W konsekwencji PZPN nałożył karę na... RTS Widzew. Ciekawa jestem na kogo nałoży karę PKP za zdemolowany wagon? W tym wypadku trudno będzie udowodnić, że to warszawscy kibice uciekali do Warszawy przed łódzkimi kibicami, bowiem wagon został zdemolowany jadąc w pociągu z Warszawy do Łodzi. Prasa warszawska zarzuca terenowej — nie tylko łódzkiej — szowinizm lokalny, prasa lokalna warszawskiej szowinizm centralny. A istota zjawiska leży sobie spokojnie z boku.

Jeśli już miałabym mówić o szowinizmie, to oskarżałabym o to nie tylko prasę, ale i wcale poważnych działaczy różnych szczebli. Przecież bywało i tak, że szefowie partyjnych instancji i to nie tylko szczebla wojewódzkiego interesowali się wynikami meczów piłkarskich przed ich rozegraniem. Bywało i tak, że poświęcano tej sprawie obrady poważnych ciał kierowniczych. Czy dziś jest inaczej?

A sport w istocie swojej sprowadza się do partnerskiej walki. Czy walka może być partnerska? Może, jeśli obie strony wzajemnie się szanują, jeśli o wyniku tej walki ma zadecydować rzeczywista przewaga jednej ze stron, jeśli zwyciężyć ma siła, fachowość, doświadczenie, lepsza kondycja. Taka jest teoria. A praktyka? A praktyka jest taka, że piłkarzy i działaczy RTS Widzew podejrzewa się o to, że zapłacili piłkarzom Zawiszy z Bydgoszczy, aby ci przegrali, bo Widzew przoduje, choć gwałtownie traci siły i szanse na zdobycie upragnionego mistrzostwa kraju. Czy za wszelką cenę?

Lokalny patriotyzm jest bardzo pożyteczny, pod warunkiem, że nie przeradza się w lokalny szowinizm. A każdy szowinizm jest zjawiskiem społecznie ujemnym. Dla mnie lokalny patriotyzm nie polega na tym, że wszystko, co nasze jest najlepsze, tylko na tym, że dążymy do tego, aby w sposób rzeczywisty osiągać najlepsze wyniki. Na stadionach panuje inna zasada: nasi dobrzy, reszta patałachy! Bij patałacha! Kto ma odmienne zdanie, tego w łeb. Czym popadło. Butelką też. Na stadionie nie ma dyskusji, nie ma szacunku dla przeciwnych poglądów, stanowisk, sądów. A czy w naszym życiu społecznym też bywamy tacy tolerancyjni? Czyż zawsze demokrację — tak dziś modną — pojmujemy w taki sposób, że uznajemy poglądy przeciwne, że zwalczamy je w dyskusji, że jesteśmy tolerancyjni, potrafimy cierpliwie przekonywać, agitować, dyskutować, czy też tym, którzy myślą inaczej i inaczej mówią najczęściej odbieramy głos?

A może na stadionach ujawnia się w sposób karykaturalny i patologiczny nasza nietolerancja?

BOGDA MADEJ

CIĄGLE O WIARYGODNOŚCI

Ten szowinista Dariusz Woszczalski nie zawahał się ani na moment i uprzystępnił nam na małym ekranie żniwo zebrane przez MO po pobycie w Łodzi rozmiłowanych w Legii warszawskich kibiców. Czyżby nie obawiał się Sądu Koleżeńskiego? Przecież wiadomo, iż młodzieżowe grono warszawskich sympatyków futbolu wbiegło na płytę boiska w obawie przed atakami rozwścieczonych łodzian. A, że owi sympatycy zdemolowali pociąg? Należało się chyba jakoś uzbroić. Opieszały jak zwykle handel nie pomyślał jeszcze o specjalnej sieci sklepow w których można byłoby zaopatrzyć się w odpowiednie akcesoria obronne, a to kastety, a to łańcuchy zakończone sztabką żelaza, a to poręczne gazrurki. Że obrzucili budynek stacyjny kamieniami, że odciążyli pociąg z czternastolatka? Młodzież ma swoje prawa (stołeczne). Tyle na ten temat się dyskutuje, czyż po próżnicy? Że wdarli się na stadion demolując bramę, że połamali ogrodzenie boiska? Wiadomo powszechnie, na co jak najsłuszniej wskazał jeden z dyskutantów, występujących w ad hoc zrealizowanej audycji „Echa Stadionów" (18.V.), że łódzkie nie są przygotowane do rozgrywania meczów ligowych. To po pierwsze. Po drugie bowiem, wina leży po stronie łódzkich działaczy i dziennikarzy, którzy nie zważając na żadne tabu, podsycają animozje z warszawskimi kibicami. A obronne działania sympatyków Legii mają długą i chlubną tradycję. Na stałe utkwiły nam w pamięci pełne patriotycznego żaru walki w Gdyni i Częstochowie, nie wspominając już o prawdziwie bohaterskim ataku butelką na sędziego liniowego u siebie.

Tak, nie popisał się Dariusz Woszczalski, zastępujący Marka Madeja, który męczył się był właśnie na trasie Wyścigu Pokoju. Nie poczekał na komentarz Redakcji Sportowej TvP, nie poczytał „Expressu Wieczornego". Wybaczmy mu to. Zbliża się koniec rozgrywek w lidze. Będziemy mieć jeszcze nie jedną niespodziankę. Wówczas się zrehabilituje. Ale musi nauczyć się jednego: mówienie tzw. „pełnym głosem" dotyczy wszystkiego co dzieje się w polskim sporcie nie bliżej niż 100 km od warszawskich central.

Ów kastetowy materiał nadano najpierw w lokalnych „Wiadomościach". Kupił go natychmiast redaktor Maciej Chybowski, który od czasu „otwockiego incydentu" przejął monopol w DTv na problem „wzrostu zagrożenia społecznego i przestępczości". Nie mam zamiaru ironizować na ten temat. Jednak alarmistyczne tony Macieja Chybowskiego mają nadto perswazyjny charakter, tym bardziej, że kiedyś Dziennik realizowany w konwencji „wiadomości z krainy szczęścia i dobrobytu" omijał te tematy jak tylko mógł. Zatem teraz, w aktualnej i przeraźliwie konkretnej sytuacji, tego rodzaju informacje muszą budzić różnorakie refleksje, nie zawsze zgodne z dziennikarskimi intencjami Macieja Chybowskiego. Ale o to, abyśmy nie odbierali dziennikowych informacji jako treści zapisanych między wierszami, abyśmy niedomniemywali utajonych podtekstów, telewizja będzie musiała zabiegać jeszcze przez długie tygodnie.

Jak krótkowzroczne były decyzje minimalizujące ciężar sprawy braci Kowalczyków pokazują ostatnie dni. O terrorystycznym zamachu Jerzego Kowalczyka w grudniu 1972 roku podano tylko krótkie noty agencyjne (zdaje się że był większy materiał jedynie w „Polityce"), potem poinformowano o wyrokach. Od tego czasu sprawa ta obrosła w rozmaite mitologizacyjne konteksty. Kowalczyków umieszcza się zatem na różnych listach „więzionych za przekonania polityczne". Nadaje się im status obrońców demokracji i swobody myśli. Moim zdaniem, które formułuję na podstawie przedstawionego w niedzielę (24.V.) sprawozdania ze śledztwa, przygotowanego z psychopatycznym rozmysłem, wysadenia auli WSP w Opolu jest czynem kryminalnym. Wprawdzie Jerzy Kowalczyk usiłował ów czyn jakoś motywować (wybuch miał być „karą" dla tych, którzy zwalczali różne organizacje, występujące zbrojnie w obronie przedwojennego ustroju?), nie sądzę jednak, aby mogły to być okoliczności łagodzące. Zresztą dla człowieka urodzonego w roku 1943, dla którego zarówno „przedwojenny ustrój" jak i walki w jego „obronie" są zasłyszaną opowieścią, taka motywacja musi budzić wątpliwości. Słusznie podsumował tę sprawę prowadzący dziennik lektor. Nie w kategoriach politycznych leży sedno opolskiego zamachu, ale w kategoriach prawa — winy i kary. Terroryzm (powtarzam, bo w tym aspekcie widzę działania Jerzego Kowalczyka), jak wskazują doświadczenia ostatnich miesięcy i dni na całym świecie, musi budzić powszechny sprzeciw bez względu na motywy i idee.

Czy zaprezentowany materiał w niedzielnym Dzienniku był przekonujący? Sądzę, że wielu widzów chciałoby się dowiedzieć czegoś więcej. To co zobaczyliśmy było rzeczywiście jedynie materiałem in crudo, przedstawiającym przygotowania i przebieg wybuchu. Same zdjęcia, fakty i beznamiętna relacja obwinionego domagała się dopowiedzeń natury socjologicznej i psychologicznej, zwłaszcza na temat drugiego z braci, Ryszarda Kowalczyka. Jaką on odgrywał rolę w zamyśle wysadzenia auli, co go do tego skłoniło, jakie intencje i okoliczności?

Tak czy inaczej, ta spóźniona o wiele lat relacji, każe pomyśleć tym wszystkim, którzy nazwiska Kowalczyków znają tylko z rozmaitych listów otwartych i apeli. A takich niestety jest większość.

Aby rozumieć trzeba wiedzieć. Zatem nie warto manipulować informacjami. Wcześniej czy później prawda upomni się o swój sens. Niedzielny Dziennik przyniósł jeszcze dwie inne wiadomości: o przyczynach wybuchu ropy w Karlinie i katastrofy lotniczej pod Słupskiem, ucinając w ten sposób wątek szeptanym wieściom. Tak trzeba.

GRZEGORZ GAZDA

GODNOŚĆ ARTYSTY

Nie jest przypadkiem, że Michaił Bułhakow obrał za temat jednej ze swych sztuk biograficznych dłuższy epizod z życia Moliera zwany sporem o „Świętoszka". Te burzliwe lata, w których największy dramaturg wszechczasów, korzystający z łaskawej protekcji króla Ludwika XIV, cieszący się przyjaźnią wielkich umysłów tego okresu jak Boileau czy La Fontaine, pławiący się w powodzeniu i popularności, popadł w ciężkie tarapaty — zafascynowały Bułhatowa i nasunęły mu określone skojarzenia ze współczesnością i z własną sytuacją jako pisarza.

„Świętoszek" komedia demaskująca wszelkie formy obłudy i frazeologicznego zakłamania, odczytana została przez ówczesny kler francuski jako atak na pleniącą się wówczas organizację kościelną — Bractwo Św. Sakramentu. Bractwo to, któremu patronował arcybiskup Paryża, pod płaszczykiem obrony religii prowadziło inwigilację prywatnego życia ludzi, wytaczając im potem oskarżenia o niemoralność. Tytułowa postać „Świętoszka", Tartuffe, bigot i nikczemnik, stał się przyczyną wściekłych ataków na Moliera i jego sztukę Antagoniści pisarza nie przebierali w środkach, grzebiąc się w jego biografii. Udało im się przy tym za sprawą aktora Moirron natrafić na słaby punkt w życiu Moliera; małżeństwo z młodszą od niego o dwadzieścia jeden lat Armandą Béjart.

Armandę przedstawiła Molierowi jego długoletnia kochanka Magdalena Béjart jako swą młodszą siostrę. Starzejący się mistrz pióra i sceny zapałał do dziewczyny namiętnością, która pchnęła go do małżeństwa. Wrogowie pisarza spod znaku Bractwa Św. Sakramentu uchwycili się pogłoski, że Armanda nie jest siostrą, lecz córką Magdaleny. W tym przypadku nie było wyłączone, że Molier był ojcem własnej żony. Do dziś dnia nie wiadomo do końca, czy to straszne oskarżenie, stawiające pisarza w sytuacji zbliżonej do tragedii króla Edypa (tam chodziło, jak wiadomo, o nieszczęsny, choć równie nieświadomy związek małżeński z własną matką), było prawdziwe.

Niemniej jednak w walkę polityczną przeciw Molierowi włączono tę broń najstraszliwszą, nie licząc się z odczuciami jego jako człowieka. Zbrukano go bezlitośnie, burząc spokój rodzinny, zakłócany dodatkowo przez pasmo zdrad małżeńskich, jakich dopuszczała się jawnie Armanda. Przed pisarzem otwarło się istne piekło za życia. I choć po pięciu latach walki ludzi oświeconych, wspierających Moliera, Ludwik XIV zezwolił wreszcie na wystawienie „Świętoszka", to przecież autor nie potrafił już cieszyć się zwycięstwem, był człowiekiem złamanym i głęboko tragicznym.

Dramat ludzki Moliera pogłębił Bułhakow o dramat artysty. Przez całe swe bujne życie komediopisarza i aktora królewskiego był on dworakiem. Systematycznie wkradał się w łaski monarchy, gdyż zmuszały go do tego feudalne zwyczaje. Aby móc istnieć u dworu, aby zapewnić egzystencję swego teatru i aktorów, musiał Molier pełzać u tronu, schlebiać władcy, ścigać się w uniżoności z chórem dworzan, wynoszącym pod niebiosy Ludwika XIV i nazywających go królem — słońcem. Godność wielkiego artysty musiała przy tym cierpieć boleśnie, ale pocieszeniem była dlań długoletnia passa powodzenia. Gdy tej zabrakło, stanął Molier wobec świadomości, że lata poniżeń nie prowadziły do niczego, dokonały w nim spustoszeń wewnętrznych, dając w zamian gorycz klęski.

Z takimi uczuciami umiera Molier na scenie, grając tytułową rolę w swej ostatniej sztuce „Chory z urojenia" Czy tylko z takimi uczuciami? Bułhakow nam o tym nie mówi, ale chyba wtedy właśnie pociechą dla niego mógłby być dokonany w obliczu śmierci rachunek pisarskich i aktorskich osiągnięć...

Nie trzeba być obserwatorem szczególnie bystrym, by zdać sobie sprawę, że dramat Moliera był dla Bułhakowa jego własnym dramatem. Żył w czasach stalinowskich, „Moliera" wystawił w Moskwie w 1936 roku. Nie miejsce w tym felietonie dokonywać analizy sytuacji, w której rozpętany do ostatecznych granic kult osoby Stalina łamał na co dzień godność ludzką, wciągał osoby stojące blisko przywódcy (a Bułhakow do grona tego należał) w żałosny wyścig pochlebstw i serwilistycznych gestów. Na tym tle przeżywał swoje rozterki Bułhakow, czując że porwał go niszczący moralnie nurt.

W sposób szczególny odbieramy „Moliera" dziś. Wystawiony w interesującej, niepokojącej konwencji przez Macieja Wojtyszkę, który dał nam się już poznać jako świetny reżyser telewizyjny, zagrany znakomicie przede wszystkim przez Tadeusza Łomnickiego (Molier), Halinę Mikołajską (Magdalena), Ignacego Gogolewskiego (Król) i Jana Matyjszkiewicza (Arcybiskup), spektakl ten skłania do zadumy nad ponadczasowym problemem godności artysty, jak i przenosi sprawę metaforycznie w polską współczesność. W niedawnej przeszłości nie brakło i u nas zjawisk, zmuszających artystów do wyboru między serwilistycznym godzeniem się z panującymi mechanizmami władzy, a protestem w imię godności własnej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 'al w Warszawie nr 1153 201045 139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1135. K-2.